

Radosław Lewandowski

AUSTRALIJSKIE PIEKŁO



Radosław Lewandowski

AUSTRALIJSKIE PIEKŁO

Historia osnuta na faktach

Płock 2020



ROZDZIAŁ 1

Onderkoopman Jeronim Kornelisz

LEEWARDEN

Wielki Bram, z uśmiechem na twarzy charknął i splunął wprost na stojącego przed nim młodego mężczyznę. Długo czekał okazji by zdybać chudzielca na osobności, i jego cierpliwość została nagrodzona. Przez kilka chwil zdawał się z zaciekawianiem śledzić spływającą po policzku ofiary lepką flegmę. Po prawdzie, to szukał jakiegokolwiek pretekstu, by rzucić się na świętoszkowatego menonitę. Zetrzeć z jego facjaty wyraz pobożnej wyższości, tak typowej dla tego pastorowego pomiotu od czasu, gdy Jero Kornelisz zagarnął dla siebie mleczno-skorą Lieke.

Ofiara stała nieruchomo, być może zbyt przerażona lub wzburzona, by wyrzec choćby słowo, by podnieść rękę i otrzeć płwocinę. Pogarda w kaprawych oczkach oprawcy przybrała niemal materialną postać. Od dziecka patrzył jak ojciec rżnie zwierzęta w swojej jatce i zasmakował w ich strachu. Pływał w nim z coraz większą lubością, sycąc się bezbrzeżnym przerażeniem.

– Jesteś glistą, która wypełzła z błota tylko po to, by ją tam wepchnąć z powrotem – usłyszał Kornelisz. – Wchodzisz w paradę lepszym od siebie, zawracasz w głowach dziewczkom gładką gadką i ja ci ten ozór wyrwę, razem wyrwiemy, co nie Bo? – Tłuscioch wszędzie chodził z młodszym, podobnym jak kropla wody bratem i ten teraz skwapliwie skinał głową tak energicznie, iż drugi podbródek zadrzął próbując kontynuować ten ruch. – Co, półmężczyzno, strach cię

obleciał? A właściwie czego szukasz w pobliżu jatki mojego ojca?! Na przespziegi przyszedłeś? A może po ochłapy?

– Bram – Jeronim Kornelisz otarł wreszcie twarz rękawem luźnej płóciennej koszuli – my menonici nie możemy dać wodzić się gniewowi na postronku, musimy zamknąć serca i umysły przed nienawiścią i żądzą zemsty. Nic do ciebie nie mam i niech każdy idzie swoją drogą. A co do Lieke, to dobrze wiesz, że sama tak wybrała.

– Wybrała? Chędożyłem ją aż nie mogła prosto ustać, a potem dałem bratu by zrobił to samo. Podobało jej się i chciała więcej. Sam ją wyrzuciłem gdy mi spowszedniała. Czepiała się z płaczem nóg, i dopiero zapowiedź że żenię się z inną, zdjęła ze mnie ten ciężar. Choć przyznam, iż te jej gęste kędziory miały swój urok, nigdy nie byłem pewien, gdzie trafiam swoim nożem – zarechotał. – Czy dalej tak słodko jęczy, gdy...

– Łżesz grubasie! – Jeronim czuł, jak krew uderza mu do głowy. – Zresztą, po co byś się na mnie zasadzał, gdyby była ci obojętna? I nie legła z tobą psie, bo gdym po ślubie brał ją do łóżnicy, dziewiczą krew puściła. Ja nie mogę, ale za te słowa tłusta świnió Bóg cię ukaże, zobaczysz!

– Pozwoliłem ci kundlu szczekać?

– Wywałasz go Bram, a co nam zrobisz, wywałasz – Bo wyszczerzył zęby jakby miał zamiar ugryźć syna pastora. – Wróci do Lieke łżejszy, to dziewczka zrozumie z kim powinna trzymać.

Na te słowa Bram wyciągnął zza pasa rzeźnicki nóż, ten sam, który dostał na zakończenie terminu u ojca i przyłożył do szyi menonity. Dotknięcie zimnego metalu było niby przyłożenie żywego ognia do lontu nabitej armaty. Strach, złość, pogarda dla samego siebie, wszystko zniknęło zastąpione zimną przebiegłą wściekłością. Chwycił grubasa obiema rękami za ramię z bronią i skrzył tak, że dłoni z nożem znalazła się za plecami. Nie przestawał jednak, wspomagany siłą rozpędu, szarpnął... Nagle, z ust starszego syna rzeźnika wydobył się okrzyk bólu a ostrze upadło na zdeptaną trawę. Niedawna ofiara zdawała się tego nie zauważać i pociągnęła jeszcze mocniej. Poprzez skowyt bólu do ich uszu dotarło charakterystyczne chrupnięcie a zawodzenie rzeźnika przeszło w niemal niesłyszalny pisk. Role się odwróciły, Jero puścił niegroźnego już oprawcę i sięgnął po nóż.

Bram osunął się na ziemię a na lnianych spranych portkach, z chwili na chwilę rosła coraz większa plama wilgoci. Młody Kornelisz wziął broń do ręki,

zważył, próbując znaleźć jak najlepszy uchwyt, co widząc, ranny grubas odpełził w stronę stojącego nieruchomo brata. Tam skulił się i zamarł.

– Nie skończyłem jeszcze z tobą, wieprzu, zapamiętasz, że nie wszyscy menonici są z miękkiej gliny ulepieni. Na pamiątkę, zostawię ci to – dał kilka szybkich kroków i wbił czubek noża w okolice łędźwi rzeźnikowego pierworodnego. Ten pomimo rany, a może dzięki niej, zerwał się z ziemi i kuśtykając rzucił do ucieczki.

– Na co czekasz, Bo, też chcesz poczuć co znaczy zdrzeć z Jeronimem Korneliszem? Synem woja, przed którym drżało kiedyś pół księstwa?

Temu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dopiero dziesięć kroków od obejścia, bracia zatrzymali się i zaczęli odgrażać śląc gromy w stronę syna pastora Korneliszsa.

– Bram! Poskarż się, a potnę cię całego! – usłyszeli w odpowiedzi. – A żebyś nie zapomniał, oddam ci co twoje! – W ślad za braćmi poleciał zakrwawiony kawałek żelaza. – My menonici jesteśmy niby dobra stal, z której tysiącem uderzeń Bóg wykuwa swoje ostrze! Pamiętajcie!

Tego popołudnia Jeronim wracał do domostwa, jakby mu kto ujął z barków worek trosk. Strach, który zobaczył w oczach grubasów, upajał.

OJCIEC

Dlaczego to robisz Jero? – Mężczyzna o surowej, ascetycznej, pobrużdżonej przez wiatry i czas twarzy, patrzył na młodzieńca pełnym wyrzutów wzrokiem. – Dlaczego robisz to sobie, pamięci matki i... Bogu?

– Ale co, ojcze?

– Nie igraj ze mną synu, nie tym razem. Od kiedy pamiętam, ratuję twoją skórę i wyciągam za uszy z kłopotów a ściągasz je, niczym rzadkie gówno muchy. Nasi współbracia przymykali oczy na grzeszne uczynki i Bóg mi świadkiem, czynili to wbrew twojemu rodzicielowi. Mawiali przy tym, że ziarno jest jak kłos z którego wyszło, że dobro przemoże ciemność którą nosisz w sobie, byle dać mu czas i słońce. Nie zawsze jednak, jak widać. Jesteś dorosłym mężczyzną

i nade wszystko masz duszę, o którą musisz dbać i... żonę, która cię potrzebuje – dodał ciszej.

– Ja naprawdę nie wiem, skąd twoje zdenerwowanie ojcie. Pomiędzy mną a Lieke dobrze się układa i nie sędzę, by przysłała ze skargą. Apteka prosperuje ze zmiennym szczęściem co prawda, ale...

– Podobno uczysz się władać szpadą u mistrza Bremena, co samo w sobie jest złem, ale i zaatakowałeś nożem młodego rzeźnika – starszy mężczyzna gwałtownie uciął synowskie wymówki. Miał dosyć jego jałowego mielenia ozorem, a może bardziej obawiał się o siebie, o to, czy zdoła wytrwać w srogości jak sobie przyobiecał. To dziecię jego lędźwi, miało zadziwiającą umiejętność skłaniania ludzi do swej woli. – Wbiłeś mu go w okolice krocza tak, że niewiele brakowało, by nigdy nie miał już dzieci. Wiesz, że my menonici nie tolerujemy przemocy i noszenia broni. To jedna z pryncypialnych zasad obowiązujących w naszej gminie! Kto, jak kto, ale syn pastora powinien znać te reguły!

– Ja? – Młodzieniec sięgnął po zajmujący środek stołu razowy, podsuszony już placek i oderwał kawałek. – Zostałem oczerniony ojcie – włożył ciasto do ust i zaczął wolno przeżuwać. Cisza gęstniała z chwili na chwilę.

Starszy mężczyzna nie spuszczał z niego ciężkiego spojrzenia. Syn popił cierpkim czerwonym winem i westchnął z rezygnacją.

– Kto ci doniósł, ojcie? Ten wieprz Bram? A może to była ruda Ilse, ciągle wściekła, że to Lieke wybrałem a nie ją?

– A czy to ważne? A czy sędzisz, że ukryjesz swoje postęпки przed Bogiem? On tu jest najwyższym sędzią.

– I nie zamierzam. A chodzę do Bremena, bo ktoś musi mnie nauczyć jak się bronić. Ty ojcie, choć mógłbyś, nie uczynisz tego. Gdy byłem dzieckiem, słyszałem szeptane opowieści o moim rodzicielu, który walcząc w książęcej armii wykazywał się takim męstwem, że wrogowie drżeli na sam dźwięk jego imienia. Marzyłem, że kiedyś... – Młody mężczyzna zerwał się od stołu.

– Nie mogę nadstawić drugiego policzka ojcie, gdy takie ścierwa jak ten tłusćcioch Bram pluja mi ze śmiechem w twarz. Nikomu na to nie pozwolę! Nikomu! Wiesz, co on mówi o mojej żonie? Że chciała i ciągle chce jego, a ze mną jest tylko dlatego, iż przygruchał sobie inną a ją wychędożył i pogonił precz! Gdy jak nakazuje nasza reguła poszedłem ze słowem i prośbą o umiar, wyśmiał mnie, bowiem w świecie ludzi prostych znaczenie ma tylko siła. – Na wspomnienie tych zdarzeń, na wysokim czole młodszeo z mężczyzn nabrzmiały żyły. – Ten

śmierdziel, wymachując przed nosem nożem, stwierdził ze śmiechem, że my menonici jesteśmy niczym krowy, które on ćwiartuje w swojej jatce, a nasi ociężali na umyśle mężczyźni, nie potrafią bronić swoich niewiast, więc nic, tylko brać i dymać, ile wlezie. To jego słowa ojcie! – Syn w zapamiętaniu uderzył pięścią w stół. – Nie wytrzymałem, ale każdy normalny mężczyzna na moim miejscu, zachowałby się podobnie. Wyrwałem mu ostrze i... – zamilkł.

– Synu! – Ojciec przerwał brzemenną ciężką ciszę i stanął na wprost młodego mężczyzny. Z surowej jeszcze przed chwilą twarzy, biła teraz rozpacz, miłość i... lęk? – Myślałem, że z czasem nauczę cię uległości, że zrozumiesz, iż życie to próba, przed jaką stawia nas dobry Bóg. A my pokorą i pracowitością winniśmy pokazywać Panu, iż choć to przez grzech zostaliśmy od Niego oddzieleni, warci jesteśmy łaski i poświęcenia Syna Bożego Jezusa Chrystusa. Tak, popełniałem w młodości błędy i mam na sumieniu więcej niewinnej śmierci, niż niejeden łotr, ale dzięki Bogu i twojej matce przyszło opamiętanie. Od tego czasu kroczę drogą Pana, chyląc posypaną popiołem głowę nisko i zapewne nieudolnie staram się odkupić winy. Dlatego właśnie przystaliśmy do menonitów i to było najlepsze, co mogło nas spotkać, dar, na który nie zasłużyłem. Znaleźliśmy wśród nich prawdziwych braci, siostry i spokój. Nim zmarła, byliśmy tu bardzo szczęśliwi – dodał jakby sam do siebie.

– Ależ ojcie, przysięgam...

– My nie składamy przysięgi! – W głosie pastora znowu zabrzmiała stal. – Tak jak nie piastujemy wysokich urzędów, bo i Syn Boży tego nie czynił! Kroczymy śladami Jezusa Chrystusa opisanymi w Biblii, bowiem ona jest początkiem i końcem wiedzy o świecie. Czy wszystko, czego cię uczyłem, było jedynie rosą u zarania słonecznego dnia? Mgiełką w obliczu wichru?

– Nie! Było słabością ubraną w święte słowa! – Krzyknął młody mężczyzna – poddaniem się losowi bez walki! Gardzę wami wszystkimi, waszą naiwną świętoszkowatością, pokorą, uniżonością i tą gminą, w której schowaliście się przed światem! To tchórzostwo ojcie, i ty też jesteś tchórzem! Bóg stwarza wiele okazji, ale tylko dla tych, którzy mają odwagę brać! Nie ustrzelisz ptaka, całymi dniami przesiadując w domostwie! Nie zdobędziesz złota, orząc latami lepką ziemię!

Starszy mężczyzna chwiał się po każdym słowie, jakby miały one wagę sztabek żelaza.

– Oby dobry Pan wskazał ci właściwą drogę synu. Grzeszysz, od kiedy nauczyłeś się mówić, grzeszysz hardością, wygórowaną ambicją, zawiścią i niepokromioną dumą. Swoimi uczynkami wpędziłeś matkę do grobu, a to była niemal święta kobieta i nie zasłużyła na taki los. Jedynym jej szalonym wyczynem było to, iż wyszła za wojaka i hulakę w przekonaniu, że dzięki miłości sprowadzi go na właściwą drogę. Udało się, ale zapomniała poprosić Ojca w Niebie, o taką samą łaskę dla swojej latorośli. Potem – westchnął – było już za późno.

Rzuciłeś Jero o jeden kamień za dużo. Może jesteś zbyt podobny do mnie i za to winię tylko siebie. Widocznie sprawiedliwy Pan, ukarał mnie takim synem za krzywdy, których kiedyś się dopuściłem. Przez kilka szczęśliwych lat, miałem nadzieję, że mi wybaczył, że... – machnął ręką – ale nie, i słusznie. Ja sam nie wybaczę sobie nigdy.

Pastor, z którego jakby uszło powietrze, ruszył w stronę jedynej latorośli. Gdy stanął przed młodym mężczyzną, położył dłoń na policzku, a uczynił to tak delikatnie, iż ten zamarł zaskoczony spodziewając się raczej uderzenia niżli pieszczoty. Pogłaskał go jak dawniej, gdy ten był jeszcze małym chłopcem i w oczach mężczyzny zaszklily się łzy.

– Z bólem to czynię, ale nie pozostawiasz mi wyboru synku i wierzaj, gdybym i tym razem mógł przyjąć rany na swoje plecy, uczyniłbym to, bowiem blizin na nich jest ciągle zbyt mało. Jednak od jednego psującego się jabłka, pleśnieje cały ich kosz i muszę zrobić to, co muszę. Radziłem wspólnie ze starszymi, co z tobą zrobić i decyzja jest nieodwołalna. W myśl zasad obowiązujących w naszej wspólnocie, wykluczam cię Jeronimie Kornelisz z naszej gminy. Nie jesteś już mile widziany w moim domu i proszę cię, byś do jutra opuścił Leeuwarden. Nie mam syna – ostatnie zdanie pastor Michael Kornelisz ledwie wyszeptał. Dłoń opadając, musnęła tęsknie lekko pofalowane włosy młodego mężczyzny. Jakby chciała się z nimi pożegnać, dotykem zapamiętać ich fakturę, śliskość i kolor, tak boleśnie podobne do matczynych.

Kilka chwil stali w kompletnej ciszy, nim do zaskoczonego takim obrotem spraw aptekarza dotarło znaczenie wypowiedzianych słów.

– A ja ojca! I rację miał rzeźnik Bram, że nasi mężczyźni są jak wałachy! Szkoda, że go wtedy nie rozprułem, a miałem chęć. Pożałujesz tego ojczy, zobaczysz! – Porwał ze stołu kapelusz i wybiegł. Wiatr zamiótł jesiennymi liśćmi, rozsypując je nierównym wachlarzem po poczerniałych deskach podłogi. Zwykle pedantyczny gospodarz, nie zwrócił na to uwagi.

Starszy Kornelisz błady niby sama śmierć, wyszeptał:

– Już żałuję synku, ale nie dałeś mi wyboru. Wybacz kochana żono, że okazałem się złym nauczycielem. Gdybyś żyła, jak zawsze zaradziłaś najgorszemu. Wybacz mi Boże pychę, bo kimże jestem by próbować zmienić Twe plany? Pyłem na wietrze, ślałem stopy na mokrym piasku, czarnym pustym ziarnem. Boże... – osunął się na kolana w modlitwie. Potem jakby w zwolnionym tempie, upadł na bok i tak już pozostał. Gdy przestało bić serce, ściągnięta bólem twarz rozpozgodziła się i wygładziła. Dusza menonity ruszyła do domu Ojca.

Tydzień później, w lasku nieopodal Leeuwarden, psy znalazły poćwiartowane ciało Brana syna rzeźnika, a raczej to, co z niego zostały zwierzęta.

HAARLEM, KILKANAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

– Ma żyć, słyszysz! Musi żyć, bo... bo... – mężczyzna zakrztusił się własną śliną i zamilkł. Bezwiednie otarł usta wyświeconym mankietem, znacząc mokrym śladem jego niezbyt czystą powierzchnię. Po skroni meandrując pomiędzy nabrzmiałymi żyłami, płynęła ciężka tłusta kropla potu.

– Panie Kornelisz, robię wszystko co mogę, wszystko. Ale ona – medyk wskazał ruchem głowy dziwnie ciche niemowlę – jest teraz w boskich, a nie ludzkich rękach. – Siwowłosy starzec szybko się przeżegnał. Leczył z francy starych i młodych, kobiety i mężczyzn, znał się na swojej robocie. Ale niewinna duszyczka tego dziecięcia, już niemal była w Niebiesiech, o ile taka będzie wola Pana.

W ciemnej, nieco zatęchłej izbie rozlegało się ciche kobiece zawodzenie; narastało niby odgłosy zbliżającej się burzy, przenikało aż do kości, póki gospodarz nie uciął go gniewnym niemal zwierzęcym warknięciem. Na stojącym w kącie skromnym łożu, siedziały dwie kobiety. Jedna, odziana w pomiętą czarną suknię z wyłożonym koronkowym kołnierzem, druga skrywała łaty w ubiorze, lnianym długim fartuchem. I właśnie ta pierwsza, skuliła się teraz z pięścią przyciśniętą do ust, jakby w ten sposób chciała powstrzymać rodzące się w gardle dźwięki.

Kornelisz dla dodania mocy słowom, uderzył kułakiem w otwartą dłoń.

– Ale... szara maść... dlaczego ona nie pomaga?! W takich razach, to dobre lekarstwo przecież! Zrobiłem ją jak należy, nie szczędziłem *hydrargyri** i dałem jej dobre trzydzieści do sta!*

Starzec jakby nie słyszał.

– No! Mówże pan!

– Gdyby była starsza – konsyliarz przykrył dziecię lnianym ręcznikiem, chowając przed światem liczne ropnie; obok starych, przyschniętych pod pokrywą z masy rtęciowej, pojawiły się nowe. Na bladej twarzy trzymiesięcznego oseska, widać było otwarte rany a usta wykrzywiał wielki guz. Połykiwał teraz w migotliwym blasku świec, napęczniały i jakby żywy pod cieniutką skórą.

– Poczekaj, na miłość Boga człowieku poczekaj! Musi być jakiś sposób! – Kornelisz zaczął szarpać swoje długie, rzednące powoli włosy. – My... Ona... Długo nie mogliśmy mieć dziecka... A gdy Pan zesłał nam... – zamilkł.

– Kto jak kto, ale ty panie aptekarzu dobrze wiesz, co to za diabelstwo. I dorosłego marynarza potrafi pozbawić rozumu, albo i życia. A co dopiero takie niebożątko. I nie myśl żem bez serca, ale byłoby większym okrucieństwem zwodzić was nadzieją na wyzdrowienie, gdy... – nie dokończył, nie musiał.

– Wiem. – Ojciec zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Od kiedy wystąpiły pierwsze objawy, kąpiemy ją w odwarach z żywicy gwajkowej i wygrzewamy w piecu by poszły poty. Ale może jest jeszcze coś? Na zmiłowanie boskie, jak braknie czego w składziku, to zdobędę, choćbym musiał kraść i żyły pruć!

– Gdyby miała kilka lat, wtedy popuściłbym krwi a i organizmu choroba tak szybko by nie zmoęła. Wtedy tak, ale... – Medyk ciężko westchnął, wyprostował się i zanurzył dłonie w misce z wodą. Wytarł je o nienajczystsza szmatkę i rozcapierzył palce przed oczami gospodarza.

– Jestem tylko człowiekiem i to co ludzkie zrobiłem. Nic tu po mnie panie Kornelisz, ja się już tu na nic nie zdam i lepiej jakiego duchownego sprowadźcie – mówiąc te słowa, zaczął pakować przyrządy do skromnej, wysłużonej torby.

– Musisz pan coś zrobić! Musisz! To moje jedyne dziecię! Jak rzekłem Bóg długo nam nie błogosławił potomstwem, myślałem nawet...! – Zdesperowany ojciec doskoczył do starca i zaczął nim potrząsać niby workiem rzepy. Medyk krzyknął zaskoczony a na raptusa przyszło opamiętanie. Jakby w zwolnionym tempie i niechętnie, dłonie rozwarły chwyt.

* Rteć metaliczna – wspólnie z lanoliną bezwodną, tłuszczem wieprzowym i łojem baraním wchodziły w skład szarej maści.

– Wybacz panie. To... ja... ona... – młodszy mężczyzna zamilkł.

Cichy kobiecy jęk był jedyną odpowiedzią.

Już wychodząc, starzec zamarł w progu i odwrócił głowę w stronę ciemnej izby.

– Niestarzy jesteście, to i dobry Bóg pobłogosławi jeszcze pociechami. Jenó ostrożni być musicie, bowiem choróbsko samo nie weszło pod wasz dach panie Kornelisz, pomiarkujcie, że samo nie weszło.

– Ale my... ja... nie... – Medyk nie słuchał, skrzypnęły drewniane drzwi i tyle go było widać. Był tanim, a co za tym idzie wziętym konsyliarzem w tej dzielnicy Haarlemu i miał przed południem jeszcze trzy umówione wizyty. Za sobą zostawił zatęchłą rozpacz i beznadzieję, bowiem nie było na całym świecie uczzonego męża, który zdołałby uratować to biedne dziecko. – Wola boska – westchnął i podniósł do ust niewielki krucyfiks, który nosił na piersiach. Przyzwyczaił się do śmierci, bowiem była to codzienność w brudnych i głodnych dzielnicach Haarlemu, nijak jednak – i to pomimo wielu lat posługi – nie mógł przejść spokojnie obok cierpienia niewinnych dzieciątek. Bo i za cóż je karano?

Domownicy po jego wyjściu, trwali kilka długich chwil w bezruchu, niby na płótnie niderlandzkiego malarza.

– On ma rację Lieke – pan domu pierwszy otrząsnął się z odrętwienia – mała musiała zarazić się od któregoś z nas. Ja nie mam wrzodów, a ty...

– Co ty mówisz Jeronim, co ty mówisz? Dobry Bóg niech się ulituje nad twoją biedną głową.

– Rozbieraj się! – Ten rozkaz zabrzmiał niczym warknięcie głodnego zwierzęcia.

– Jero, nie chcesz chyba...

– Rozbieraj się – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Kobieta wolno podniosła się z posłania i drżącymi rękami zaczęła zdejmować odzienie. Szło jej opornie, palce nie trafiały w pętle, ale przy pomocy służki uwolniła w końcu ramiona i podeszła do męża. Ciężkie białe piersi drgające w rytm kroków, znieruchomiały a na brązowych dużych sutkach zamgliły się krople matczyne mleka. Stała przed nim zawstydzona.

– Pora karmienia panie mę... – niezdarnie próbowała zetrzeć płyn, ale podrażnione tym ruchem brodawki trysnęły, rosząc podłogę białymi kropkami. Kilka dotarło do twarzy mężczyzny.

– Wybaczcie, ja... – zamknęła oczy porażona bezmiarem własnego bezwstydu.

– Wszystko – usłyszała.

– Wszystko... co?

– Zdejmij z siebie wszystko, kobieto! – warknął, ocierając twarz grzbietem dłoni.

Po chwili suknia w nierównych fałdach opadła na deski podłogi. Lieke była wciąż gładką pulchną niewiastą o skórze białej niby mąka i rozłożystych biodrach. Z ciągle jędrnym ciałem, niczym obiecująca ukojenie i spełnienie matka Ziemia, nieodmiennie wzbudzała w mężu pożądanie. Nawet teraz, jego wzrok powędrował poniżej talii by znieruchomiec na wysokości gęstych kędziorów, których ostry zapach... Szybko wciągnął i wypuścił powietrze, potem raz jeszcze i kolejny... Potrząsnął głową, by oczyścić myśli. Z trudem podniósł wzrok.

Patrzyła na niego ze zgorzaniem.

– Tak się nie godzi mężu – wyszeptała bezkrwistymi wargami.

– Ja mówię, co w tym domu jest dobre, a co złe – doszedł już do siebie i po niedawnej słabości pozostał tylko nieco drżący głos. – A godzi się patrzeć na śmierć tak długo wyczekiwanego dziecka? – Sięgnął po stojący na stole ogarek świecy, jeden z kilku, które pozostały po niedawnych oględzinach bakałarza. Inspekcję przeprowadzał bardzo drobiazgowo, by nagle przyklęknąć. – A to? – wskazał palcem na niewielkie obrzmienie na podudziu.

– Pojawiło się cztery dni temu. Nasza córka, była już wtedy od dawna chora. – Łzy nie ciekły po twarzy Lieke Kornelisz tylko dlatego, że wcześniej wszystkie wypłakała. – Nie mówiłam nic panie mężu, bo nie chciałam dokładać zmartwień.

– Na to wygląda – mruknął pod nosem – wtórne zakażenie. Wybacz mi moja miła, diabeł miesza w głowie od tego wszystkiego, żywi się naszym bólem i wydobywa na wierzch to, co najgorsze w człowieku. – Wyprostował się, gasząc poślinionymi palcami knot. Nagle jego wzrok powędrował w stronę służki, która w ciemności panującej w suterenie, zdawała się teraz jeszcze jednym cieniem, zbitkiem nieruchomej szarości.

– Amy, podejdź.

Amy Wood, która dopiero zeszłej wiosny przybyła do Haarlemu, wstała i dała niepewnie dwa kroki w stronę rozsierdzonego pana. Ponaglona gestem, zatrzymała się obok odziewającej się Lieke. W Niderlandach miała zarobić trochę burgundzkich rijksdaalderów, a może i nawet znaleźć męża. Pół wsi się złożyło, by mogła przylecieć do Amsterdamu. Przywiezione z domu pieniądze szybko się jednak skończyły i jak u wielu innych wyspiarek, jedynym ratunkiem okazali się marynarze. Niektórym, co śmielszym młodym kobietom, podobało się takie

życie, ale nie bogobojnej Amy. Pijani i spragnieni uciech ludzie morza, robili to gwałtownie, nie zważając na ból jaki przy tym zadawali. Pomagała mocna jałowcówka, ale akurat ją los pokarał słabym żołądkiem. A najgorsze, że po wszystkim czuła się zbrukana i musiała chodzić do świątyni po rozgrzeszenie; w wielkim Amsterdamie, w którym niczym w ogromnym tyglu mieszały się wszystkie kultury znanego świata, były też katolickie kościoły. Dostawała je, po obsłużeniu swoim ciałem tłustego i wiecznie spoconego księdza. Nie miała innej monety, by zapłacić za odpust.

– Pan nasz, życzy sobie tego Amy – mówił w zakrystii, obserwując jak niechętnie zdejmuje niezbyt czyste suknie. – Jestem pomazańcem i uświęcam swoim nasieniem glebę splugawioną przez nierząd i rozpustę. Nie płacz kobieto – podchodził do niej podwijając przód swojej szaty – nie tylko oczyszczę twą nieśmiertelną duszę, ale umocniony siłą mego kapłaństwa, ustrzegę cię w ten sposób od chorób wszelakich.

Zawsze też, gdy w nią wchodził od tyłu, chłostał pośladki Amy wierzbowymi witkami twierdząc, że zadaje jej pokutę. Sapał przy tym i tryskał śliną wykrzykując egzorcyzmy, które miały z niej wypędzić Szatana. Godziła się i na to, bowiem czymże była by kwestionować wyroki sługi bożego? Prochem marnym, pyłem na podeszwie, zwykłą nierządnicą. Po wszystkim dostawała jeszcze ciepłą strawę i wypełniona nasieniem i zupą, opuszczała święty przybytek. Czuła się okropnie, ale zasługiwała na taki los.

Uciekła przy pierwszej okazji do innego miasta. W Haarlemie Bóg miłościwy uśmiechnął się do swojej wiernej, choć niegodnej służebnicy i obdarował pracą piastunki u małżeństwa Kornelisów. Wszystko było dobrze, do czasu...

– Jestem panie – wyszeptwała.

– Zrzuć suknię.

– Nie godzi się panie, nie godzi się – załkała, powtarzając za Lieke.

– Rób co mówię, kobieto! Jeśli nie chcesz po dobroci, to zedrę ją z ciebie siłą!

Służąca zamarła, a potem jakby w zwolnionym tempie, zaczęła rozwiązywać troczki. Nie musiała zrzucić całej sukni ze spranego płótna i wystarczył panujący w izbie półmrok, by po wyswobodzeniu ręki, zobaczyli wrzody i krwawe rany.

– Suko! – Jeronim Kornelisz zadał pierwszy mocny cios. Poczowała, jak podłoga usuwa jej się spod stóp. – Ty diabelski pomioście, ładaczniczo, portowa dziwko, zabiję cię wszeteczniczo, zabiję! – Kopał piastunkę w napadzie szału. – Bodaj by cię lafiryndo... – Któryś z kolejnych ciosów trafił młodą kobietę w usta wybijając

kilka zębów, inny wylądował na nagiej piersi wydobywając z gardła Amy nienaturalny pisk.

– Mężu?! – Lieke nabrała głębiej powietrza i powtórzyła głośniejszym głosem – Mężu, nie możesz tak...

Uderzył, na odlew, z całych sił.

– Nie jesteś tu bez winy Lieke, nie upilnowałaś naszego dzieciaka – syknął. Twarz Jeronima Kornelisa przypominała teraz straszliwą maskę dzikiego bożka.

Amy korzystając z okazji, zaczęła czołgać się w stronę wyjścia i pewnie tylko dzięki temu, tego dnia uszła z życiem. Wężowym niemal ruchem wspięła się po kilku stopniach i głową pchnęła drzwi. Z głośnym chlupotem wpadła do płynącego tuż za progiem rynsztoka i nie zważając na nic, wypełzła na środek brukowanej ulicy. Przypominała wielkiego brudnego szarego robaka, który wychnął przez jakiś straszny przypadek z czeluści ziemi; jak i ta bestia, zostawiała na suchym podłożu mokry oślizły ślad.

Życie w Haarlemie toczyło się wartko. Śpieszący w swoich sprawach zamożni mieszczaństwo, mijali kobiety z wyrazem obrzydzenia na twarzach, bardziej dbając o to, by szykowne satynowe i jedwabne stroje nie miały styczności z utyłaną, na wpół nagą dziewczką. Dla większości była niewidzialna niczym bezpańskie psy, których zawsze kilka kręciło się zasięgu wzroku. Ten i ów rzucił co najwyżej z ciekawione spojrzenie na stojącego w drzwiach kamienicy gniewnego mężczyznę w siłę wieku.

Amy zdołała wstać i kulejąc, z przyciśniętymi do piersi połami sukni, oddaliła się w stronę rzeki.

– To jeszcze nie koniec, słyszysz?! Zapłacisz mi za chorobę dziecka, suko! – Stał kilka długich chwil, zaciskając bezsilnie pięści. Pożółkłe od odczynników paznokcie przebiły poplamioną skórę, ale nie czuł tego bólu. Chciał też ochłodzić, dać wypalić się wściekłości, ale ona nie zamierzała gasnąć; gorzała teraz niczym wyjęta z ognia smolna szczapa. Co jeszcze ma go spotkać w życiu? Czy ojciec nim szedł w tej zapyziałej menonnickiej osadzie, rzucił na niego jeszcze klątwę? A może to kara za śmierć tego rzeźnika, Brama? Zarżnął go niczym świnie i zrobiłby to jeszcze raz, za odebranie domu i należnej ojcowizny.

Lieke była tam, gdzie ją zostawił. Bił, dopóki wystarczyło mu sił, by w końcu porwawszy z półki w spiżarni dwie faszki taniego wina, uciec, schować się do warsztatu. Znajome zapachy ziół i medykamentów podziały uspokajająco, resztę zrobił trunek.

Kolejnego ranka, córka wciąż żyła a Jeronim Kornelisz zastał żonę klęczącą i modlącą się u jej wezgłowia. Chciał wyjść, ale ten widok zatrzymał go w miejscu. Poczł w sercu ukłucie uczucia, o którego istnieniu niemal zapomniał. Kiedyś, jakby w innym życiu, kochał tę kobietę i marzył o spokojnym, wspólnym, wypełnionym krzykiem dzieci domu. Co się stało, dlaczego nasz los wygląda niby odbicie w krzywym zwierciadle? Nie jestem złym człowiekiem, może porwyczmy, ale nie złym. Tylko codzienny mozół powoduje twardnienie serc, jako alternatywę oferując szaleństwo.

– Wybacz, diabeł mnie opętał jak zobaczyłem u tej ladacznicy... wybacz, kochana. Przyklęknął i objął ją w pól. Lieke zadrżała, jakby gotowała się do ucieczki, ale dokąd miała uciekać? Była przecież samojedna w tym mieście.

– Mąż jest panem i władcą kobiety – usłyszał cichy, niewyraźny głos – albowiem jak twierdził apostoł Paweł w liście do Efezjan – „Żony, bądźcie poddane mężom swoim jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak Chrystus Głową Kościoła (...)”^{*}.

– Ale ja nie na ciebie byłem wściekły, przecież wiesz. I nawet nie na tę cholerną durną angielską sukę.

– A na kogo mój panie mężu? Kto tu jest winny? – Czysty lniany czepiec zakrywał opuchliznę na twarzy, ale zniekształcone wargi z trudem tworzące słowa, boleśnie przypominały o wczorajszym wybuchu.

– Bóg! – warknął. – To On dał nam tę długo wyczekiwaną miłość, by gdy zapłonęła wielkim jasnym ogniem, sypnąć piachem gasząc młode życie. Umiera w mękach, sama widzisz. Cóż to za wszechwładca, który niewinne dziecię...

– Milcz! – Tym razem w jej głosie pojawiły się żelazne nuty. – Jeśli chcesz mojego przebaczenia, będziesz chodził teraz na msze do Bakenesskerk, a być może twoja nieśmiertelna dusza zostanie wezwana przed oblicze Pana. Jeśli nie – ucięła jego próbę protestu – nigdy się już do ciebie nie odezwę. – Gwałtowny ruch głową spowodował opadnięcie czepca i dopiero teraz dało się zobaczyć w pełnej krasie krwawe sińce i nierówne obrzmiałe pęknięcia, które wykrzywiały twarz małżonki. Było jeszcze coś, Lieke patrzyła mu prosto w oczy i to patrzyła hardo.

I ta inność, a może wypowiedziana przez zwykle potulną żonę otwarta groźba, pozbawiły go rezonu. Był też pewien jak samej śmierci, że dotrzyma słowa. Raz już stracił rodzinę i nie zamierzał dopuścić, by to się powtórzyło. Choć z drugiej strony...

^{*} Efez. 5, 22-27.

– Wiesz, że przez tych świętoszkowatych ludzi musiałem opuścić rodzinny dom – wyszeptał. – Że straciłem ojca i wszystko musiałem zaczynać od początku. Nie każ mi słuchać ich kazań, których jedynym celem jest spętanie człowieka, przygniecenie go olbrzymim poczuciem winy.

– Twoja decyzja mężu, znasz moje warunki.

– Moja? Z nożem przy gardle?

– Wiesz co Jero, czasem mam wrażenie, że pod twoją skórą czai się dzika bestia, gotowa rozerwać powłokę i wyskoczyć na boży świat. Zaczynam się ciebie bać panie mężu i jeśli nóż na gardle ma to zmienić, niech tak będzie.

Od tego dnia zaczął bywać w kościele i musiał przyznać, że czuł ulgę po każdej wizycie. Jakby oddawał część cierpienia grubym murom, luterzańskim współbraciom i wysłużonym ławom, ale boskie sprawy i sądy są dla Boga, a to ludzka sprawiedliwość powinna osiągnąć Amy Wood. Powinna cierpieć tak, jak ludzie, którym to cierpienie zgotowała. Żadne modły i kazania nie zmieniły planów aptekarza.

Wniósł sprawę do grodzkiego sądu i kolejne tygodnie Kornelisz tam próbował dochodzić praw. A żądał tortur i śmierci w męczarniach dla roznoszącej choroby przybłądy. Sprawa, która zdawała się być prostą i klarowną, przeciągała się ponad miarę. Znający się na prawie suto opłacani doradcy uspokajali, że wygrana jest tylko kwestią czasu, ale jemu właśnie tego czasu brakowało. Dość patrzeć jak służka wsiądzie na jakiś statek i szukaj wiatru w polu. Albo nie daj Bóg zemrze z głodu, nie zaznawszy przed śmiercią męczarni.

Interesy szły coraz marniej. Po prawdzie, to nie miał kto ich pilnować, bowiem aptekarz całe dni spędzał w sądzie albo na śledzeniu Amy Wood.

Niepostrzeżenie, w ferworze codzienności, nadszedł Ten dzień. Bóg zabrał duszę niewinnego dziecka – przynajmniej taką żywili nadzieję – i było to dla wszystkich, niby przecięcie wrzodu. Śmierć osoby kochanej nie jest najgorsza, znacznie trudniejsze bywa bezradne patrzeć jak cierpi i niknie w oczach. Strach o każdym poranku, przy każdym głośniejszym rżeniu, nocne czuwanie w nasłuchiowaniu nikłego oddechu. Pogrzeb córki, mężczyzna opłacił już za pieniądze pożyczone u lichwiarzy, stawiając w zastaw swoje skromne mieszkanie i aptekę.

Ale to nie koniec jęgo porażek. Kolejnym ciosem okazał się werdykt sędziów, którzy ustalili, iż nie mogą bezsprzecznie orzec, czy dziecko zaraziło się od matki, czy służki, jako że u jednej i u drugiej stwierdzono objawy choroby. Ba, mogło ich zdaniem też być tak, iż choroba przysłała z powietrzem lub z klątwą

jakiegoś zawistnego sąsiada. Potrzebne jest – perorował sędzia – bardziej dogłębne zbadanie sprawy. Nie pomogło, że aptekarz opłacił świadczących za nim medyków. Zrozpaczony ojciec podczas poufnej rozmowy z przewodniczącym składu usłyszał, że znaczny pieniężny datek, mógłby przyspieszyć opieszłą procedurę, a być może i nastawić sędziów przychylniej do argumentów powoda. Zdesperowany nie miał już jednak co zastawiać.

Niewiele jest w życiu człowieka stanów bardziej wyniszczających od bezradności. Od sytuacji, gdy całym ciałem i duszą przekonany jest do swoich racji, a los okazuje się nieczuły na moc tych przekonań, To jakby związać pana domu i na jego oczach usieć domowników, zostawiając, by żył z myślą, iż być może mógł zrobić coś, cokolwiek, co byłoby w stanie zmienić bieg wydarzeń. Jeronim wybiegł z budynku sądu i do zmroku błąkał się bez świadomości po wąskich uliczkach Haarlemu, złorzecząc Bogu i ludziom.

Z nadejściem nocy przyszło olśnienie i ulga, zrozumiał, co musi uczynić. Zakradł się do dzielnicy portowych ruder i czekał. Amy wegetowała w rejonie, który prawomyślni mieszkańcy Haarlemu zwykli omijać szerokim łukiem. Nie miała nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość dla zdrowych marynarzy, otwarte rany na skórze były dla nich przestrogą. Gdy głodna próbowała żebrać, miejscowi żebracy stłukli ją tak dotkliwie, że myślała, że wyzionie ducha. Chciała tego. Wola życia jest jednak potężną siłą, więc choć obolała, jak co dnia poszła do pobliskiej świątyni po miskę darmowej strawy. Miejscowy pastor był człowiekiem wielkiego serca i biadał nad losem niewiasty, jednak takich jak ona przychodziło więcej i nie był w stanie pomóc wszystkim. Nie ustawał jednak w staraniach a Amy dziękowała Panu, że postawił tego dobrego człowieka na jej drodze. Że pokazał, iż są w Świętym Kościele i prawdziwi pasterze. Postanowiła, że gdy już nabierze sił i pokona chorobę, odwzięczy się mu ciężką pracą w obejściu. Znajdzie sposób, by odpłacić za dobro. Proponowała wcześniej i swoje ciało, jak ją nauczył tłusty ksiądz w Amsterdamie. Wielebny wściekł się i omaal nie przepełdził precz, a potem przytulił i oboje długo płakali.

– Dziecko – szeptał łkając – kim bym był, gdybym dokładał ciężarów do twojego i tak ciężkiego życia? Nie wszyscy ludzie wiary są godni by prowadzić owieczki ku oświeceniu, ale jest nas wystarczająco dużo, by nieść przez wieki pochodnię czystego słowa bożego. Pomódlmy się i wiedź jedno, Pan cię kocha.

Niemal nie pamiętała już, kiedy wcześniej czuła się tak dobrze.

I do niej uśmiechnęło się proste szczęście, bowiem jeden z angielskich najemników, ulitował się dzisiejszego ranka nad rodaczką i oddał własną, na wpół opróżnioną butelkę z ginem. Wypiła wieczorem by zagłuszyć głód, a po ciele rozpląnęło się błogie kojące ciepło. Pomyślała nawet, iż być może odkupiła już swoje grzechy i w łasce Pana, odnajdzie spokój. Nie śmiała marzyć o dzieciach, bijącym niezbyt często mężu, chociaż może i to kiedyś będzie jej dane? Świat zawirował, odpłynął, by w następnej chwili Amy siedziała nad miską kaszy w rodzinnym jednoizbowym domu. Za oknem, jak okiem sięgnąć, ścieliły się zielone wiosną pastwiska przypominające puchową, lekko pofałdowaną pierzynę, która okrywała kości ziemi przed wodą i słońcem. Woń lekko butwiejących desek, potu i sąsiadującego chlewa, były zapachami dzieciństwa. Obok ojciec o spracowanych w polu rękach, podtykał jej cześć swojej porcji i jak zwykle, uśmiechał się pod wąsem. Tak bardzo tęskniła za tym uśmiechem. Kochał ją najmocniej ze wszystkich, szczególnie, gdy matuś pomała w połogu. Była jego iskierką – tak często nazywał swoją córkę okrywając dziewczę do snu – dla niej znosił codzienne trudy, dla niej gotów był oddać choćby i życie. Jadła więc łapczywie swoją i jego okraszoną słoniną kaszę, jakby od wielu dni...

Jeronim Kornelisz wbił nóż w brzuch śpiącej w barłogu z brudnych szmat i słomy, Amy Wood. Zakrył jej usta poźółką dłonią a gdy ostrze zagłębiało się w ciało dziewczyny, poczuł coś, czego nie doświadczał od dawna – nabrzmiewającą męskość.

Nie miała sił by mu się wyrwać i słabła z upływu krwi, ale tak jak chciał, nie nazbyt szybko. Cierpiała a on sycił się tym bólem, niczym spragniony źródłaną wodą. Spełnienie przyszło nagle i było niemal bolesne. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uniesienia jak wtedy, gdy błyszczące przerażeniem oczy gasły zapadając się w siebie. Był władcą życia i śmierci, niczym sam Bóg.

Kolejne długie minuty spędził na bezgłośniejszej modlitwie, błagając Pana Stworzenia o wybaczenie za przyjemność, jaką odnalazł w tym okrutnym akcie. I jak mu się zdawało, usłyszał odpowiedź. Głos w głowie powiedział: – To Ja wybieram ludzi mających zostać zbawionymi i żadne ziemskie uczynki i wiara, nie są w stanie wpłynąć na boskie werdykty! Ten akt łaski, jest Moim, nie ludzkim dziełem!

Wrócił do domu niemal radosny. Stare bolesne strupy zostawił nad rzeką Spaarne, znowu czuł, że żyje.

Lieke znalazła inny sposób na swoje cierpienie. W pobliskiej świątyni spędzała całe dnie, oddając się wielogodzinnym modłom. Życie niemal wróciło do

normy, jeśli nie liczyć podłego, przygotowywanego między kolejnymi wyjściami żarcia – ale Jeronim Kornelisz nie przywiązywał wagi do tego co je, już nie. Gdy czuł to znajome ciśnienie, wymykał się nocą skryty pod czarną peleryną a ran-kiem, znajdowano w jakimś zaułku kolejną martwą żebraczkę. To były brudne czasy wojny, podczas których śmierć kogoś z gminu, była wybawieniem dla władz przeludnionych, pełnych uciekinierów miast.

Niestety interesy tak podupadły, że często brakowało na spłatę rat dla lichwiarza. Dotrzymywał jednak danego żonie słowa i codziennie chodził na msze. Ta dzisiejsza była wyjątkowa, jakby zanurzył się w dawnej wodzie i przeniósł w czasie. Znowu był w rodzinnej osadzie i to nie miejscowy pastor, ale ojciec przemawiał z ambony kościoła Bakenesskerk.

Przed wielbnym Pieterem leżała wysłużona biblia, którą gdy mówił dotykał, jakby dzięki temu zachowywał mistyczną więź z Bogiem, a w dole ciągnęły się szeregi skromnie, ale czysto odzianych wiernych, przygotowanych by w skupieniu wysłuchać słów swego pasterza.

– Kościół założony w Jerozolimie w dzień Pięćdziesiątnicy w trzydziestym roku po Chrystusie, przez pokolenia ku boskiej chwale rozślawiał się po całym świecie i za to cześć i wieczna chwała dzielnym misjonarzom! – Głos miał na tyle dźwięczny, iż słyhać go było w każdym zakątku świątyni. – Z czasem jednak, pojawiło się zepsucie i oto prosta wiara i czyste życie nowotestamentowego Kościoła przerodziły się w błędzącego molocha o żałośnie upadającej moralności. Wszyscy oświeceni zadajemy sobie pytanie: dlaczego? I jest na to tylko jedna odpowiedź – grzech nas oddzielił od Pana Stworzenia, bowiem jesteśmy ułomni. Nie dla ludzi byłoby Królestwo Niebieskie, gdyby nie miłosierdzie i poświęcenie Syna Bożego Jezusa Chrystusa!

Ciche szmery potakiwań umilkły, gdy pastor podniósł w górę dłoni.

– W hiszpańskim, francuskim kościele wiele z cennego dziedzictwa wiary zostało zbrukane, przesiane przez ludzkie słabości i przestał on być Kościołem Chrystusa – duchowny zrobił dłuższą przerwę i z ciężkim westchnieniem kontynuował. – Wymienię teraz te odstępstwa a wy moje dzieci, rozejrzyjcie się wokół i zajrzyjcie też we własne serca, by ujrzeć czy nie błędzicie, bowiem nigdy nie jest zbyt późno by wkroczyć na właściwą drogę.

Syn Boży założył Kościół składający się wyłącznie z wierzących, którzy świadomie zaufali Panu. Świadomie oddali Mu swe dusze i ciała wierząc, iż zostaną im przebaczone grzechy, że dostąpią łaski miłosierdzia. To było spoiwo tych

społeczności. W ciągu następnych wieków woła ludzi Kościoła a nie Boską, zaczęto włączać do wspólnoty nieświadome niemowlęta. Ba, jedną decyzją władcy cały kraj stawał się chrześcijański! Gdzie tu pokuta i nawrócenie? Gdzie przeżycie zbawienia? Czyż nie mamy do czynienia jedynie z pustą skorupą, wypełnioną miast prawdziwą wiarą, wyrachowaniem i strachem? My idący śladami Marcina Lutra, dostrzegamy ten fałsz i zakłamanie!

A sam Kościół, czy nie zmienił się przez te wieki? Czy nie rozrósł się obdziałając władzę ubranych w pychę książąt Kościoła? Czyniąc z wiernych jedynie poddanych a nie członków wspólnoty?! – W odpowiedzi pastor usłyszał wiele potakujących głosów i sam Kornelisz złapał się na tym, iż z zapalem kiwa głową.

– Nie tak powinien działać, nie tak zapisano w Nowym Testamencie! – głos duchownego potężniejący z każdym słowem, zamarł na chwilę.

– Kolejnym działaniem Kościoła, które wypacza prawdziwą wiarę, jest głoszenie przez księży, iż wierni mogą dostąpić autentycznego kontaktu z Bogiem jedynie poprzez kapłanów. Jedynie poprzez siedem sakramentów, zwanych przez nich świętymi. Czy to zostało zapisane w Ewangelii? Czy Nowy Testament nakazuje wiernym uległość wobec przepisów wymyślonych przez człowieka?! Bracia i siostry, nie potrzebujecie pośredników by trwać w wierze i doświadczać boskich łask, nie pośrednika, który jest takim samym błędzącym człowiekiem jak każdy z nas! – Audytorium odpowiedziało wzburzonymi okrzykami, ale po chwili wróciło opamiętanie właściwe dla miejsca modłów i zadumy.

– A samo zbawienie? Czy ten akt wielkiej łaski i dar nieskończonej miłości nie został wypaczony w Kościele? Przecież stoi w Księdze, iż dostąpią go ci, którzy uwierzą w Syna Bożego Jezusa Chrystusa a nie ludzie, wypełniający w strachu polecenia Kościoła! Nie oni! Apostoł Paweł pisał w Liście do Rzymian, iż człowiek dostąpi zbawienia dzięki ofierze Chrystusa na krzyżu. Tak zostało napisane w Biblii! A jak tę jedyną prawdę, obrócili na swoją modłę książęta Kościoła? Wmówili wiernym, iż dostąpią zbawienia przestrzegając przepisów, które sami wymyślili! Że dostąpią zbawienia płacąc za nie złotem na odpustach! Że dostąpią zbawienia dzięki dobrym uczynkom, co samo w sobie jest pyszne i jako żywo przypomina wierzenia pogan! Że w końcu zostaną zbawieni umartwiając ciało i duszę w klasztorach, rezygnując z tak miłego Bogu normalnego życia, małżeństwa i przywileju rodziny! Niech Pan nasz ulituje się nad ich duszami, bowiem błędzą!

Pastor otworzył oczy i Korneliszowi zdało się, iż patrzy właśnie na niego.

– W końcu moje dzieci, prawdziwy chrześcijanin nie powinien pożądać bogactwa. Powiem więcej, te pierwsze społeczności wyrosły nie w pałacach, a w ubóstwie. Jak zostało spisane w Ewangelii wg św. Mateusza: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego. Gdy uczniowie to usłyszeli, przerazili się bardzo i pytali: Któż więc może się zbawić? Jezus spojrział na nich i rzekł: U ludzi to niemożliwe, lecz u Boga wszystko jest możliwe”^{*} – duchowny uśmiechnął się ciepło do zgromadzonych owieczek. – Pamiętajcie więc, by szukać potrzebujących i nie szczędzić na dobroczynność, bo to miłe Panu Stworzenia, ale to do Niego należy decyzja, czy przyjmie waszą duszę do królestwa niebieskiego. Idźcie z Bogiem.

Natchnieni tym kazaniem ludzie, powoli, w zadumie opuszczali kościół. Czuć było niemalże, iż przynajmniej na pewien czas stali się lepsi. W udręczonym aptekarzu też jakby coś pękło. Zebrał się na odwagę i podszedł do schodzącego z ambony wielebnego Pietera.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków synu.

– Wie wielebny, jakie nieszczęście nas spotkało? To znaczy naszą rodzinę?

– Zmarło wam dziecko, synu. Twoja dobra małżonka wypłakała serce opowiadając mi o tym. Dźwigam ten ciężar razem z wami.

– Tak wielebny, córeczka.

– Jest już w Raju bezpieczna i szczęśliwa, o ile tak chciał Pan. Wyczekuje tam na was. Twoja połowica... – duchowny przerwał i spojrział z większą uwagą na Jeronima – rozmawialiśmy o tym i wiem, że ona znajduje ukojenie w modlitwie. Czytaj Biblię, a i ty znajdziesz w niej pocieszenie.

– Nie szukam już ukojenia, pogodziłem się z tą śmiercią kaznodziejo. Ale do mojej apteki przestali przychodzić klienci a ja mam teraz długi. Gdyby wielebny wspomniał o tym po kazaniu, to znaczy, że jeden z członków naszej wspólnoty jest w trudnej sytuacji i po bożemu będzie nabywać kordiały i dekokty...

– Synu – kaznodzieja przerwał mu gwałtownym gestem – treść Biblii jest tym, o czym winniśmy rozmawiać w kościele, nie sprawy przyziemne. Słowo Boże jest bowiem środkiem, przez który Bóg nakłania nas do nowego życia oraz duchowo pokrzepia wierzących.

^{*} Mt 19, 24.

– Ale to ja niedługo stracę dach nad głową i miejsce pracy! – powiedział podniesionym głosem, co zwróciło uwagę wychodzących ze świątyni maruderów. – A razem ze mną, na bruk pójdzie moja żona – dodał już ciszej.

– Wola Boża synu. Gdy będziesz na ulicy, przyjdź do kościoła – raz dziennie rozdajemy nędzarzom strawę. I porozmawiaj z małżonką.

– Lieke? A co ona ma do tego?

– Idź już synu, idź.

Wyszedł z kościoła zły na siebie za chwilową słabość. Że dał się tak łatwo podejść i uwierzył w tę całą dobroczynność. Swoją kobietę wyjątkowo, zastał w mieszkaniu. Krzątała się przy kuchni jak za dawnych lepszych czasów.

– Rozmawiałem z kaznodzieją, co masz mi do powiedzenia? – zaczął bez ogródek.

– Przygotuję strawę, najpierw zjedzmy.

– Ale...

– Potem, mój panie mężu – usłyszał w jej głosie żelazne nuty jak wtedy, u wezglowia umierającego dziecka.

Trafił się klient na maść na odciski, więc Kornelisz już bez słowa ruszył do swojego kantorka.

Gdy po posiłku Lieke zabrała się za porządki, nie wytrzymał.

– Mówże, w czym rzecz!

Wytarła ręce w fartuch i przysiadła skromnie obok niego. Dawne ślady pobicia zniknęły niemal zupełnie i znowu miał przy sobie swoją ładną, choć przecież nie piękną żonę. Nie szukał jednak u kobiet piękna, a nawet więcej – unikał go wiążąc wielką urodę z jeszcze większym lenistwem i podstępnością.

– Bóg mnie wezwał mężu – wyszeptała nie patrząc mu w oczy.

– Jak to cię wezwał, choraś?

– Pocułam nieodpartą łaskę, powołanie i sam święty Bawo mnie przyzywa – w jej głosie po raz pierwszy od dawna pojawiły się radosne nuty. – Pójdę na służbę do wielbnego Pietera – gosponią mu będę.

– No.. a... ja? – Patrzył na żonę jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

– Każdy z nas ma swoją drogę, Jeronimie. To dlatego musiała odejść do Pana nasza córeczka – dodała ciszej.

Zerwał się z uniesioną do uderzenia ręką. Zamarł, a w końcu rozwarł zaciśnięte aż do bólu palce.

– Jej nie tykaj, Lieke, jej nie tykaj – rzucił i chwytając po drodze kapelusz, wybiegł z sutereny. Myśli tak kotłowały mu się w głowie, że nie wiedział jak znalazł się na placu centralnym, po prostu tam był. Stał pośrodku, zapatrzonego w białą iglicę Bakenesskerk, jaśniejącą w słońcu niczym wskazówka boskiego zegara. A w środku kaznodzieja Pieter z przymilnym uśmiechem i twardym sercem...

Nie zauważył nadjeżdżającej dwukółki. Krzyk woźnicy i rzenie konia zlały się niemal w jedno, potem stracił przytomność.

* * *

Otworzył oczy w ciemnej, rozświetlanej jedynie przez dopalającą się świecę izbie. Z dołu dobiegały głosy wesołej kompanii, z góry zaś, drażnił nos mocny zapach nieokreślonych chemikaliów. Jeronim Kornelisz wsparł się na łokciu, gdy naszły go mdłości. Na szczęście ktoś był przewidujący i zostawił przy łożu nie mały nocnik, który teraz pokazał swoją przydatność. Po kilku próbach, mężczyzna usiadł na miękkim posłaniu. Nie licząc opatrunku na głowie, był nagi i o ile mógł stwierdzić, cały.

Czyste ubrania leżały ułożone w stertę na rzeźbionym stoliku. Gospodarz gustował w pięknych i zapewne niezwykle kosztownych meblach, haftach i złoceniach, co dało się stwierdzić nawet przy tak lichym świetle. Wdział odzienię powoli, nie wykonując gwałtownych ruchów by nie powróciły nudności. Szczęściem, obyło się bez niespodzianek, więcej, z każdą chwilą czuł, że wracają siły. Przytrzymując się domowych sprzętów, a potem solidnych poręczy, ruszył w stronę głosów.

– Tuś mi bratku – mężczyzna w sile wieku, ze starannie wystrzyżoną i wypielęgowaną brodą, wstał od stołu. – Napędziłeś nam stracha – pomógł Korneliszowi pokonać ostatnie stopnie i posadził na wygodnym krześle.

– Gdzie... gdzie ja jestem? – w głosie rannego słychać było echa niedawnej słabości.

– Jak to gdzie bratku – ten sam mężczyzna zaśmiał się jowialnie i zawtórowało mu dwóch innych – w domu jednego z najznamienitszych kupców w Haarlemie – Christiaena Coppensa.

– Coppe... Pan jesteś gospodarz?

– Gdzieżby tam, korzystam tylko z gościnności mego przyjaciela. On sam właśnie do ciebie przepija.

Jeronim zobaczył niskiego i łysiego człowieka, podnoszącego do ust kielich z rżniętego szkła. Piękna falista peruka, leżała nieopodal na blacie, samotna i porzucona niby wyspa na środku oceanu. Widząc to spojrzenie, pan domu zachichotał mając już mocno w czubie i rzekł:

– Na Boga, dałbym głowę, iż położyłem ją o tu – dźgnął nożykiem stół – a ona odpełzła niby jakie żywe – z udawaną powagą pokręcił głową.

– Boś Christiaen zwykł pudrować ją miast wyczesywać menażerię, którąś sobie tam wyhodował – usłyszał wesoły docinek jednego z kompanów.

– A tak mój drogi i dlatego tyle piję. Idące od głowy wapory, usypiają na jakiś czas te małe bestyjki i mam spokój. – Gruchnęli beztróskim śmiechem.

– Ale ale, dokończmy prezentacji – mężczyzna, który pomógł Jeronimowi pokonać ostatnie stopnie schodów, zamachał żywo rękoma. – Ten mąż z ciętym dowcipem, to wielkiej sławy pisarz i uczony Petrus Scriverius – dopełniał konwenansów pięknobrody – a mnie zwą Torrentius. Mistrz Torrentius – powtórzył widząc brak zrozumienia na twarzy rannego.

– A co ja tu... jak się znalazłem w tym domostwie? Mogę wina? – Nie czekając na zgodę, ranny sięgnął po stojący najbliżej kielich i wychylił do dna. Gorycz wymiocin zniknęła, zastąpiona smakiem sfermentowanych winogron.

– Wybaczcie czcigodni panowie, ale jakbym o suchej gębie dwa dni wędrował.

– Ależ proszę sobie nie żałować – gospodarz sięgnął po butelkę i dołał gościnnie napitku. – Chyba, że pan wolisz coś mocniejszego?

– Po tych perturbacjach, winienem poprzestać tylko na wodzie. Ale dziękuję za propozycję.

Mężczyzna wzruszył ramionami. – A co do okoliczności waszego pojawienia się w moich progach, to winę ponosi nie kto inny, jak Johannes van der Beeck, lub Torrentius, jak lubi by go zwać.

– Przypadek bratku, przypadek – słabo bronił się wymieniony. – Wpadłem wprost pod mojego konia, gdy, co przyznaję, nieco zajęty siedzącą obok panną Willemsz, wracałem właśnie do domu. Jeśli chodzi o szczegóły, to owa nadobna niewiasta klęcząc u mych stóp robiła takie diabelskie sztuczki, iż żem o mało nie puścił lejców i nie zważając na nic, popuścił folgów targającej mną żądy. Szczęściem bieliznę noszę luźną...

– Johannes...

– No tak, szczegóły w gronie doświadczonych mężczyzn są zbędne. Swoją drogą – zwrócił się do dwójki starszych przyjaciół – niezwykle polecam utalentowaną

pannę Willemisz waszej uwagi, bowiem nazwać ją wirtuozem, to jakby nic nie mówić. Więc wracając do wypadku, w tych właśnie okolicznościach, wybiegłeś pan niczym rycerz ruszający na walkę ze straszną stworą wprost pod mojego konia. Zwierzę stanęło dęba i oberwałś obcierkę kopytem, ale lekarz mówił, że łeb masz mocny i wydobrzejesz. Zważ, że oddałem ci własne łóżko w ramach rekompensaty – zaśmiał się i zawtórowała mu pozostała dwójka.

– Gdybyż ono umiało mówić, do końca życia miałbym o czym pisać – wtrącił swoje Scriverius.

– I miałbyś rzeszę czytelników bratku – Torrentius wzniosł kielich jak do toastu – i to obu płci. – Wypili.

– Ale jak rozumiem, odzyskam dziś miejsce do spania, bo nasz ranny przyjaciel czuje się całkiem dobrze?

– Kręci mi się w głowie, ale posiedzę chwilę i... pójdę sobie.

– Nie ma pośpiechu, zjedzmy razem wieczerzę. Przynajmniej tyle jeszcze mogę zrobić. Mógłbyś Christiaen?

Gospodarz krzyknął coś w głąb domostwa i na stole zaczęły pojawiać się wyszukane potrawy. Sam łączywie opróżnił napełnioną w połowie flaszkę. Beknął i opadł na fotel z błogim uśmiechem.

Kornelisz jadł bardziej z rozsądku niż głodu, popijając sporymi łykami czerwonego wina. Po bólu zostało jedynie delikatne pulsowanie, a trunek zrobił swoje – czuł się w tym towarzystwie wyjątkowo dobrze.

Mężczyźni, ze swadą rozprawiali o miłosnych podbojach; o cenach produktów w indyjskich portach; o świętym oficjum; ortodoksyjnych Hiszpanach; wyższości holenderskiego pejzażowego malarstwa nad flamandzkim; czy pazernych, niedbających o swoje połowice małżonkach.

– No mówże bratku, gdzie szybowaleś myślami gdyś cię poturbował, tam na placu? – Torrentius skubnął zimnej pieczonej gęsi.

– Myślałem o naszym Kościele – mężczyzna zawahał się, ale wypity alkohol dodał mu śmiałości – i nieścisłościach, które w nim dostrzegam.

– Ho ho – Petrus Scriverius zabujał się na krześle, mało przy tym nie lądując na podłodze – słowa człowieka odważnego, pijanego albo głupca.

– Ani jedno ani drugie drogi panie. To słowa ojca, który stracił ukochane dziecko i żonę, która była niczego sobie. – I opowiedział pokrótce o swoim niedawnym dramacie. Pomiął tylko koniec, jaki spotkał Amy Wood.

– Nie strasz naszego gościa Petrus – Torrentius pogroził palcem przyjacielowi. – Trafił w dobre towarzystwo, bo nie masz ludzi bardziej wątpiących w całym Haarlemie od naszej trójki. Mam rację Christiaen? – Cały czerwony na gębie gospodarz, który jak widać nadużył wina, mruknął coś niewyraźnie.

– Bo widzisz szanowny panie Kornelisz, całą swą młodość spędziłem na hiszpańskim dworze i gdy wróciłem w rodzinne strony, wiedziałem jedno – wiara jaką nam serwują księża, to niewidzialne jarzmo i nic więcej. Nałożone na ludzi, by niby ten wół, szli w wyznaczonym przez chłopą kierunku. Rzecz jasna, chodzi o władzę oraz bogactwa i ja to nawet rozumiem, ale nie dam się wodzić za nos, ot co. Ba, nie tylko ta, ale wszystkie religie ograniczają przyjemności życia. Reformatorzy Lutra, jako żywo stawiają labirynty z jednym tylko wyjściem, z tą różnicą, że zamiast zimnego hiszpańskiego kamienia, do budowy ścian używają przyjaźniejszych z pozoru żywopłotów. Dla ciebie za jedno i tak się nie przeдрzesz. Czy taki był zamysł Boga, gdy nas powołał do życia? Przecież sprowadził człowieka na ziemię by ten, w czasie krótkiego istnienia, pełnymi garściami czerpał z palety dostępnych rozkoszy. Jak inaczej rozumieć zamysł Twórcy? – Mężczyzna machnął ręką, strącając ku ucieście psów półmisek z mięsivem. Bestie rzuciły się na jadło, walcząc ze sobą o najlepsze kęsy.

– Mamy być niczym one – wskazał na zwierzęta – czy istoty rozumne? Jestem zdania, że każdy z nas nosi w sobie iskrę boskości, którą przyrównałbym do pąka róży. Nie wszyscy jednak, zatracając się w umartwianiu ciała, dają kwiatu zakwitnąć. Ba, takich jest mniejszość.

– Papiści twierdzą, iż to umartwianie i znój mają nam dać życie wieczne, choć mnie bliżej z zapatrywaniem do protestantów – słowa jakby same wyszły z ust aptekarza.

– I dobrze, mniejsze zakłamanie choć dalek zakłamanie – włączył się do rozmowy Scriverius. – Pan nasz stworzył wszystko, tak czy nie?

– No, tak...

– A jeśli ludzie są różni, to też zgodnie z Jego wolą?

Kilka uderzeń serca trwała cisza.

– No?

– Tak mi się zdaje, choć jestem tylko człowiekiem i...

– Aż człowiekiem, masz rozum! – przerwał mu nieco gniewnie pisarz – Dobrze, to inaczej. Czy rzeźbiarz pracujący w drewnie, by stworzyć figurę konia wrzuca kłoc do młyńskich żaren i czeka na efekt?

– Pewnie że nie.

– A kamieniarz?

– Panie, naśmiewasz się ze mnie? Niemożliwe by było wystruganie kształtów zwierza, trąc w przypadkowy sposób boki owego kłosa.

– To dlaczego przyjmujesz, iż Bóg który jest wszechwiedzący to zrobił? Że zdał się na ślepy los?

– Dajże biedakowi spokój, Scriverius. Napijmy się – malarz nalał przyjacielowi i gościowi nową porcję wina.

– Dokończę tylko myśl Johannes – rzucił zapalczywie pisarz. Widać było, że ma już naprawdę mocno w czubie. – Dlaczego Bóg nie stworzył jedynie szpetnych kobiet? A strawa ma takie wyszukane smaki? A złoto, po cóż że ono jest na tym świecie? Czy jeśli oglądam przedstawiający nagą damę obraz mojego przyjaciela i czuję przy tym rosnącą chęć do swawolenia, to źle? Swoją drogą – poklepał malarza po dłoni – kiedyś za to co robisz, spalą cię na stosie. I to razem z twoimi dziełami.

– Niechby tam, ale co użyję to moje. A to, że w twoim słusznym wieku pojawiają się sprośne myśli, to istny cud boży i dowód mojego geniuszu. – Cała trójka, nie licząc pochrapującego gospodarza, gruchnęła śmiechem.

– A nie jest tak – Kornelisz przypomniał sobie niedawne nauki wielbnego Pietera – że szatan jest mistrzem kłamstwa i zsyła na nas te cudowne pokusy, byśmy odeszli od prawdziwej cnoty? Od tego codziennego znoju właśnie? To zazdrosna i szalejąca z nienawiści bestia, która nie cofnie się przed niczym by przysporzyć trosk Panu.

– Stworzona przez... – Torrentius zawiesił głos.

– No, przez Boga rzecz jasna.

– A widzisz bratku i tu wracamy do przykładu z rzeźbiarzem. – Malarz czknął głośno. – Dzieła Wszechmocnego są doskonałe i z definicji nie wymagają poprawek. Zresztą, moje również – przepił długim łykiem wina. Jeronim Kornelisz próbował doszukać się w jego twarzy błysku rozbawienia, ale widział jedynie niezachwianą pewność, co do wypowiedzianych sądów.

– Jakbym był w hiszpańskim kościele – Petrus Scriverius omal nie przewrócił pucharu. – Ale szanowny jegomość raczy zważyć – zmienił temat – iż wśród plebanów jedynie niewielu odejmuje sobie od gęby zaznając głód, by rozdawać bliźnim. Raczej namawiają do drogi w drugą stronę – pokiwał głową z pijacką powagą. – Albo co najwyżej, rozdają nieswoje. Choć nie zaprzeczę – uciął

rodzący się protest Jeronima, który właśnie teraz pomyślał o ojcu – iż są tu liczne wyjątki.

– A Bóg bratku – Torrentius wrócił do przerwanych rozważań – nie uczynił nas na swój obraz i podobieństwo?

– Tak stoi w Biblii. Chyba już o tym mówili...

– Skoro więc On jest doskonały, to i nasze żądze, pokusy i marzenia są takimi. To powstrzymywanie się przed ich spełnianiem, rodzi wściekłość, zgorzkniałość, poczucie niespełnienia i straty. A róże które są w nas, na zawsze pozostają pąkami. Bo widzisz, kiedyś dobrniemy do końca na tym ziemskim padole, nim zemrzemy patrzymy wstecz i co widzimy? Kobiety, których nie mieliśmy odwagi posiąść? Drani, którym nie daliśmy w pysk a na to zasługiwali? Szanse, które umknęły, bo baliśmy się wyimaginowanej kary boskiej? A może głupca, który dał się zapędzić w róg większym cwaniakom, takim, którzy nad jego głową używali życia ile wlezie?

– Jakie znowu róże? Życie to nie ogród tylko znój. Dopiero po śmierci niektórzy...

– Ten znowu swoje. Widzę, żeś pan jeszcze skostniały i zbyt trzeźwy. Wypijmy – Scriverius podniósł puchar i przez chwilę słychać było tylko głośnie przełykanie.

– Słyszał jegomość jak mniemam o pięciu prawach głoszonych przez naśladowców kaznodziei Jana Kalwina?

– W rzeczy samej. I skłaniam się jak mówiłem właśnie ku protestantom, choć prawdę mówiąc, mierzi mnie ich świętoszkowość.

– No, to stoi w nich – pisarz każde słowo akcentował uderzając otwartą dłońią w blat stołu – że wola boża nie może być podważana przez czyny i myśli człowiecze, tak czy nie?!

– No, tak.

– A ci, którzy mają być zbawieni, dostąpią nieba bez względu na to, co czynili w swoim życiu!

– Nie powinniśmy jednak postępować bogobojnie z nadzieją, że Pan to nas właśnie wybierze do swoich zastępów?

– A po jaką cholere?! – Głos Torrentiusa był niczym grzmot i wyrwał z pijackiego snu gospodarza, który nim znowu odpłynął duchem, zdążył wybełkotać – fyppppijmy za so.

– No żeby nas wybrał.

– Toż ci jest prawdziwa herezja bratku. A kim jest człowiek by mniemał, że swoimi uczynkami może zmienić boski plan? No? Bezwarunkowe wybranie zwalnia nas maluczkich z wszelkiej odpowiedzialności.

– Jakże to, więc waszym zdaniem możemy robić, co nam imaginacja podpowie i nie poniesiemy w Niebiesiech żadnej kary?

– O ile zdołasz bratku, zrzucić pęta narzucone przez kościoły i królów i ująć przy tym z życiem, jak najbardziej. Pamiętaj tylko – Torrentius czknął – że oni pospołu strzegą swoich, co ja tam chciałem, ach, swoich wypudrowanych kutasów przed takimi jak ty i ja, tak ja. Na pierwszy sygnał, że im zagrażamy, fiuuu, pójdziemy z dymem niczym sam spalony na moście św. Anioła Cornelio di Olanda. Ot co.

– Albo Bolończyk Pellegrino Righetti – dorzucił zaraz Petrus Scriverius – malarz, jak ty Johannes.

Mężczyzna, usłyszawszy o marnym losie, było nie było, kolegi-artysty, pomarkotniał. – Dość, łeb mi pęka od natłoku myśli.

– I zakąśmy – poparł go pisarz. – My ludzie pióra cenimy dobrą strawę tym bardziej, iż rzadko chodzimy z pełnymi żołądkami. Ba, jesteśmy niby człowiek stojący na mrozie, który taki los wybrał, by podziwiać piękno płatków śniegu. Tak musi być i jeśli znęcani ciepłem pójdziemy na salony, zmienia się one w jakże pospolitą wodę.

– Chcesz wmówić temu biedakowi, że artyści poszczą nie z biedy, ale taką wybrali drogę? – Torrentius zarżał niby koń – Toż lud w swojej masie, bardziej ceni żarcie, ciepło i swawolenie niżli prace naszych rąk i umysłów.

– Nie, próbuję przekonać sam siebie – tym razem znowu śmiali się wszyscy, nie licząc rzecz jasna gospodarza.

Resztę wieczoru spędzili na mniej skomplikowanych dysputach, ograniczających się w głównej mierze do płci pięknej. Zdawało się, iż malarz zna wszystkie panny i co młodsze damy z towarzystwa i to dogłębniej, niżli tylko z widzenia. Pod koniec wieczery i jego zmoгло dobre wino, więc ułożył się do snu wśród resztek potraw. Pisarz cały czas mówił, ale konia z rzędem temu, kto by go teraz zrozumiał. Cała sztuka jego profesji polega bowiem na tym, by zapisywać to, co się imaginuje pod czaszką w pijanym widzie, a potem na trzeźwo próbować zrozumieć te bazgroły.

Gdy późną nocą Jeronim Kornelisz z trudem dotarł do mieszkania, Lieke już nie było. Zabrała skromne suknie, te wystawniejsze pozostawiając na miejscu.

Wściekłość przywróciła trochę jasności myślom i sprawności członkom. Wyrzucił wszystkie na ulicę, choć potem żałował; gdy sprzedał ostatnie meble, i za nie dostałby trochę srebra.

Wielokrotnie odwiedzał jeszcze domostwo Christiaena Coppensa i spędzał długie godziny na żarliwych, religijnych i obyczajowych dysputach. Po prawdzie też, zawsze wychodził stamtąd z pełnym żołądkiem, dającą ukojenie mgłą w głowie, a wyrzuty sumienia po zabójstwach, zdawały się znikać. Zresztą, od pewnego czasu nie czuł już tego rozsadzającego głowę parcia i dzięki Bogu, nie chciał już mordować. Przemyślał nawet nad ponownym ożenkiem, ale klątwa znowu upominała się o niego.

W mieście gruchnęła wieść, iż znanego malarza Johannes Torrentiusa aresztowano za niemoralne prowadzenie i szerzenie herezji. Kornelisz poczuł pod stopami płomienie świętego ognia. Choć między Republiką a Hiszpanią trwała od wielu lat wojna, dłonie Świętej Inkwizycji były wciąż długie, a pazury ostre i brudne od krwi i popiołów z ciał tysięcy ofiar. Musiał uciekać, bo kto wie, dokąd zaprowadzą śledczych zeznania malarza. Szczęściem, Holenderska Kompania Wschodnioindyjska poszukiwała pomocnika chirurga, więc nie zwlekając zamustrował na ruszający w swój dziewiczy rejs do Indii statek „Batavia”. Po prawdzie też, uciekał przed coraz bardziej natarczywymi wierzycielami, ale i nie miał nic do stracenia. W Haarlemie nie został nikt, kto za nim zatęskni, a w nowym świecie czekały i nowe możliwości. Malarz miał rację, z życia należy wycisnąć wszystkie soki, zagarnąć tyle uciech i bogactw, na ile siły i koncept pozwolą. Taka jest wola boża.

Dwudziestego siódmego października, roku pańskiego 1628, trzymasztowa jednostka o wyporności tysiąca dwustu ton, z trzystu czterdziestoma osobami na pokładzie, wypłynęła z leżącego w Północnych Niderlandach portu Texel. Wśród załogantów znajdował się młodszy kupiec VOC, pomocnik chirurga z gażą wynoszącą niebagatelną sześćdziesiąt guldenów miesięcznie – Jeronim Kornelisz. Dla niego, to była podróż w jedną stronę.

EMMERICH

Przy nabrzeżach portowych miasta Emmerich, jeszcze nigdy nie było tak tłoczno. Statki, które pozostawiły tu swój złowrogi fracht, odpływały czym prędzej by zrobić przy kejach miejsce kolejnym jednostkom. Wyładunek trwał całą lipcową noc i rankiem, roku pańskiego 1627, mieszkańcy patrzyli z przerażeniem na las namiotów rozłożony pod miejskimi murami. Ale ten widok nie oddawał prawdziwej ciżby wojaków, bowiem przy dobrej pogodzie wielu nowoprzybyłych spało ze zrolowanymi kurtami pod głową, za dach mając jedynie gwieździste niebo.

Jakby tego było mało, obstawiono wszystkie wejścia i wyjścia z miasta.

Nagle, przy znajdującej się na południu Bramie Bydłęcej dało się słyszeć wzburzone okrzyki. Stojący na wozie dostatnio ubrany jegomość, wymachiwał rżemniennym batem i z chwili na chwilę coraz bardziej czerwieniał na gębie. Stojący nieopodal oddział żołnierzy, zdawał się nic sobie nie robić z tych wrzasków, co jeszcze bardziej rozsierdzało krzykacza. Zresztą, od założenia blokady, co i rusz ktoś na nich darł japę, jakby to prości żołnierze wydawali polecenia w tej wojnie.

– Tłumaczyłem ci już panie, że z rozkazu księcia Hendrika wszystko co wjeżdża do miasta ma być przeszukane, a wyjeżdżające zawrócone. Głuchys?! – Dowodzący drużyną porucznik, zdjął czarny kapelusz i otarł rękawem spocone czoło. To był wyjątkowo ciepły letni dzień i zaczynała go brać jasna cholera od słuchania utyskiwań pyskatech mieszczuchów. Z drugiej strony, był zawodowym wojakiem a ci ludzie to przecież nie wrogowie. Odetchnął głęboko i wrócił spokoj. – Kiedy stąd odejdziemy, a zapewniam iż niebawem, będziesz mógł sobie wjeżdżać i wyjeżdżać ile dusza zapragnie.

– Gównu mnie obchodzą twoje rozkazy kpie, wiesz z kim masz do czynienia?! Jestem Johan Alexander, starszy cechu kupców w tym mieście! Żądam wolnej drogi!

– Tak będzie panie, ale najpierw sprawdzimy co masz na wozie.

– Po moim trupie! Bodaj by was piekło pochłonęło, to jest mój dom! To moje miasto!

– Więc proszę złożyć po wszystkim skargę na porucznika Van Halena z czwartego regimentu... – głos oficera był monotony i jakby wyprany z emocji.

Tego było jak widać zbyt wiele dla rozsierdzonego kupca. Niewiele myśląc, a raczej nie myśląc w ogóle, machnął batem i wężłowaty rzemień ślizgnął się po policzku oficera, zostawiając za sobą krwawą pręgę.

W tym momencie dwóch żołnierzy wskoczyło na wóz, ale w jego właściciela jakby wstał demon – wyciągnął zza pasa spory nóż i ani myślał oddawać pola. Walka była krótka i z własnym ostrzem w bebechach, spadł z kozła wprost pod końskie kopyta. Jeden ze spłoszonych wałachów stanął dęba a wszyscy wokół usłyszeli obrzydliwy mokry trzask, gdy kopyta strząsały czaszkę Johana Alexandra, starszego cechu kupieckiego.

Wśród gapiów zapanowała cisza, którą przerwał mocny głos oficera.

– Karel, Piet, dokończcie przeszukiwanie tego cholernego wozu, trupa na furę i odstawić pod miejskie mury żeby nie blokował wjazdu! Ma chyba jakąś rodzinę, to się nim później zajmą!

Po kilku chwilach, jedynie czerwona plama na zapyłonej drodze wskazywała, iż zamordowano w tym miejscu człowieka. A w zasadzie, to było niemal samobójstwo. Oczekujący na wjazd do miasta rolnicy, ruszyli z miejsca i już bez oporów poddawali się kontroli.

Zbliżało się południe i żołnierze z utęsknieniem oczekiwali na zmianę, gdy rozległ się tętent kopyt a z miasta wyjechał powóz z damą i czterema ubranymi w szykowną liberię sługami. Ten siedzący obok woźnicy wył dziko popędzając rozpędzające się konie. Ani myśleli zatrzymać się gdy jeden z żołnierzy porucznika Van Halena stanął im na drodze. Nieszczęśnik niemal w ostatniej chwili uskokczył, a zaraz potem rozległa się palba z muszkietów.

Kilka kul trafiło w woźnicę zrzucając go z kozła. Był martwy nim upadł na ziemię. Siedzący obok pomagier próbował przejąć lejce, ale dwa pociski w tułów, skutecznie zniechęciły go do tego pomysłu i powóz stanął.

– Zakończyć ostrzał! Pilnować bramy! – Porucznik podszedł do niespokojnie drobiących w miejscu koni i pogłaskał je uspokajająco po łbach. Mówił do nich coś cicho tak długo, aż zastygły choć dalej nerwowo strzygły uszami.

– Co to było, moja pani? – Zwrócił się do białej niby śnieg pasażerki. – Próbowала pani, hmm, ucieczki? – Podszedł bliżej i język niemal odmówił mu posłuszeństwa. Dama był piękna i siedząc wewnątrz powozu w koronkowej sukni, przypominała porcelanową lalę, ale z tych najdroższych, które można zobaczyć jedynie na książęcych dworach.

– Cóż szanowny żołnierzu – przemówiła, a jej cudny głos, dorównywał słodyczą urodzie – prawdę mówiąc uciekałam z miasta po, jakby tu rzec, niefortunnym zbiegu okoliczności.

– Gdybym powiedział, że było to nieroztropne posuniecie, to jakbym nie nie mówił droga pani. Zważywszy na okoliczności, mogła pani przypłacić ten rajd życiem.

– Teraz to widzę panie oficerze, wcześniej, wydawało mi się ryzykiem do przyjęcia, zważywszy... Czy oni nie żyją? – Wskazała na dwa nieruchome ciała w czerwonych liberiach.

– André, co z nimi? – Oficer spojrzał w stronę jednego ze swoich ludzi, a ten przecząco pokręcił głową.

– Niestety, droga pani – Van Halen znowu odwrócił się w stronę kobiety.

– A mogłabym mimo wszystko, jechać dalej? Sam pan panie oficerze rozumie...

– Nie – padła krótka odpowiedź. – I to nawet nie dlatego, że próbowała pani rozjechać jednego z moich ludzi, ale takie rozkazy.

– Ściągnijmy tę wydelikaconą damusię i pokażmy jej, na czym polega wojenny los kobiet! – Krzyknął któryś z wojaków a wielu mu przytaknęło. – Zaraz kończymy służbę i taka gaska umili nam pobyt i zapewni wesoły wieczór! – Dodał ze śmiechem ktoś inny. – Należy nam się, nie?

Gdy porucznik odwrócił się w stronę swoich ludzi, zamilkli.

– Szczęście pani polega na tym, iż z rozkazu samego księcia, mamy lekko obchodzić się z mieszkańcami Emmerich. Widzę jeszcze dwóch służących – wskazał głową na stojących na podstopniach z tyłu powozu ludzi. – Proszę zabrać ciała – gdyby nie płęć, byłaby pani zapewne między nimi – i wracać do miasta. Obawiamy się hiszpańskich szpiegów i nikt nie może opuścić miejskich murów.

Niewiasta chwilę się wahała, ale rzut oka na rozozochoconych żołdaków wystarczył, by wydała cichy rozkaz na który lokaje zeskoczyli na ziemię. Stękając, wrzucili zwłoki niedawnych towarzyszy do powozu i trzeba przyznać damie opamiętanie, gdyż nawet nie drgnęła gdy krew woźnicy splamiła jej nieskazitelnie białą suknię.

– Hrabina Van der Grotenhius – podała oficerowi dłoń o skórze tak białej, niż niemal przezroczystej. – Znajdziesz mnie pan w pokojach gościnnych karczm „Pod Toporami”. Jako że nie pozwoliłeś mi oficerze bezpiecznie opuścić miasta, jesteś mi winien opiekę. To sprawa honoru a tego, jak mniemam ci nie zbywa.

Po kilku chwilach powóz zniknął za Bydłęcą Bramą, wywołując wyraźnie niezadowolenie żołnierzy, ale rozkaz to rozkaz. Szczęściem od strony obozu nadeszli zmiennicy i drużyna porucznika Van Halena została złuzowana.

Po prawdzie takich incydentów było niewiele, żołdactwo mocno trzymane w ryzach przez swoich dowódców, oszczędziło ludność cywilną miasta Emmenrich. Nie licząc owych nieszczęśliwych zająć, które przecież mogą się przydarzyć i w najbardziej karnym wojsku, wpuszczano do miasta wszystkich, ale to była droga w jedną stronę. Nawet na Renie okręty z banderami Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji, wstrzymały ruch statków biorąc do tymczasowego aresztu te, które znalazły się w zasięgu dział. Toczona od lat przez niderlandzkich protestantów wojna wyzwolenicza ze znenawidzoną ultrakatolicką Hiszpanią, zawitała w końcu i tu.

Szczęściem, to nie samo miasto było celem najazdu. Dowodzącym wielką armią zależało na utrzymaniu ruchów wojsk w tajemnicy, stąd takie nadzwyczajne środki ostrożności. Nie było w tym nic dziwnego, hiszpańscy szpiegdy lub papiści z południa, mogli być i byli wszędzie. Każdy: od prostego chłopca, uśmiechającego się kupca po niewiastę z miejskiego lupanaru, mógł być okiem i uchem Filipa IV.

* * *

Niespełna pół godziny po zakończeniu służby, porucznik Van Halen otworzył solidne drewniane drzwi karczmy „Pod Toporami” i z kapeluszem pod pachą, wszedł do pełnego gwaru pomieszczenia. Od razu otoczyły go wonie gotowanych potraw, piwa i potu, tak charakterystyczne dla tego typu przybytków.

Karczmarz postawił na jednym ze stołów zamówione dzbany z piwem i śpiesznie podszedł do gościa, który w przeciwieństwie do większości klientów, sprawiał wrażenie człowieka z wypchanym mieszkem. Na widok munduru Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji, rozmowy przycichły nie licząc tych bywalców, którzy byli zbyt pijani by zauważyć obecność choćby samego księcia.

– Służę panie, zara jaki czysty stół się znajdzie – gospodarz z przymilnym uśmiechem, wycierał dłonie w pończółki, upstrzone tłustymi plamami fartuch.

– Nie szukam jadła, a kobiety – usłyszał w odpowiedzi.

– Toż i dziewczki mamy u siebie...

– Szukam hrabiny Grotenhius – żołnierz uciął zdanie w połowie.

– Aaa, jasnie pani... Zara przysłę chłopaka, to cię poprowadzi, Panie. Podesłę też półmiski z pieczoną sarniną i dzban przedniego piwa, o ile sobie życzycie. Mam też pokoje, jakby co.

Na wspomnienie jadła, porucznik poczuł jak ślina napływa mu do ust.

– Nie zabawię długo, ale strawę przyjmę i napitek również – rzucił karczmarzowi srebrną monetę, która zniknęła zaraz pomiędzy licznymi fałdami odzienia zażywnego gospodarza.

– Jak sobie życzycie panie, jak sobie życzycie.

Po chwili podeszło do niego nieledwie odrośnięte od ziemi pacholę.

– Eee, tatko kazał zaprowadzić – ciekawie łypał na służbowy rapier porucznika – tedy panie chodźcie.

Hrabina ubrana była tym razem w intensywnie czerwoną suknię, która podkreślała strzelistość jej sylwetki i rozpałała zmysły niczym kowalski miech paleńsko. Na widok oficera, klasnęła w dłonie z uciechy.

– Bóg mi cię zsyła poruczniku. Jak mniemałam, honorowym człowiekiem jesteś, panie...?

– Tobiasz Van der Halen, do usług – mężczyzna wykonał dworny ukłon. Po prawdzie, tak kobieta onieśmielała go i pociągała bardziej, niżby miał ochotę to przyznać nawet sam przed sobą. Szła do głowy niczym dobry trunek, a jej zmysłowo niski głos, zdawał się zdolny skruszyć nie tylko męskie serca, co i kamienie. Poza tym, ciekaw był wielce przed czym uciekała omal nie przypłacając rajdu życiem. A może to była tylko wymówka, by ją ujrzeć jeszcze raz? By usłyszeć gardłowy śmiech i posiąść, obiecując wyimaginowaną pomoc? Niech tam, wojna to czas ulotnych chwil i wykorzystanych lub straconych okazji, którym niedane będzie zdarzyć się powtórnie.

– Mości Tobiaszu, racz więc spocząć – gospodyni przerwała jego rozmarzone myśli i wskazała jedyne w pomieszczeniu solidne krzesło. Sama przycupnęła na krawędzi wysokiego drewnianego łoża, które od drewnianej skrzyni odróżniała jedynie wyściółka.

Widząc jego ciekawe spojrzenia, wydeła pełne wargi z cichym „pufnięciem”. – Skromnie tu, ale bezpiecznie a niewiasta w moim położeniu, grymasić nie powinna.

– A właśnie droga pani, w głowę zachodzę od naszego niefortunnego spotkania przy Bydłęcej Bramie, co też zmusiło damę twojej proveniencji do próby pośpiesznego oddalenia się z miasta, która od panicznej ucieczki różniła się...

niczym się nie różniła – błysnął zębami. – W czym też mógłby być pomocny niezbyt zamożny oficer księcia Hendrika i jaką monetą odpłacisz pani za fatywę?

W tym momencie usłyszeli pukanie i do izby weszła niemłoda już karczmar-ka, dźwigając drewnianą tacę zastawioną mięsivem, żytnimi plackami i dzba-nem z piwem. Po postawieniu swego ciężaru na skromnym, ale solidnym sto-liku, oddaliła się bez słowa. Kolejne kilka minut słyhać było jedynie odgłosy jedzenia, a trzeba przyznać, iż strawa i napitek choć proste, były przepyszne.

– Więc? – Młody porucznik otarł dłonią lśniąca od tłuszczu usta. – W czym mogę być pomocny zważywszy, iż rankiem opuścimy z kompanią okolice Emmerich?

– Chciałabym drogi poruczniku – kobieta dołała mu usłużnie piwa – byś jeszcze tej nocy, pomógł mi wydostać się poza mury.

Milczeli kilka chwil, taksując się wzrokiem i niespiesznie sącząc napitek. Mężczyzna pierwszy opróżnił kubek i stuknął nim o blat stołu tak głośno, iż go-spodyni drgnęła mimowolnie.

– To niemożliwe droga pani i powiedziałem to już podczas naszego pierw-szego spotkania. Gdybym jednak poznał przyczynę twego strachu, może znaj-dziemy inne wyjście by zaradzić kłopotom? Chętnie pomogę, o ile zdołam rzecz jasna a ty pani, znajdziesz sposób by mi wyrównać fatywę.

– Dobrze więc, liczę, iż po wysłuchaniu mojej opowieści, zmienisz pan zda-nie. Bacz tylko by to co powiem, pozostało między nami. Mam twoje słowo?

– Daję ci je hrabino.

– Nie jestem hrabiną Grotenhius panie, a córką kupca winnego Van der Groota z Amsterdamu. Przybyłam na rekonesans z niewielką świtą do Emme-rich ledwie miesiąc temu. Miałam poślubić burmistrza tego miasta, szacowne-go Filipa van Wassenauer, którego łączyły z moim ojcem stare więzy przyjaźni i słowo, iż gdy nadejdzie czas i sposobność, połączą rody więzy silniejsze niżli tylko wspólne interesy. Bóg pokarał mnie jednak miłością jego syna – Unico – który ubzdurał sobie, iż to on pojmie mnie za żonę – na bladą twarz niewiasty wstąpił pąsowy rumieniec wzburzenia. – Ojca, by nie przeszkadzał w planach, otrul czego jestem pewna, bowiem sam mi o tym opowiedział licząc, iż zyska tym moją przychylność. To człek podłej postury i charakteru bo zapiekły jest w nienawiści okrutnie, a jak mi też doniesiono, gustuje jednako w niewiastach i młodych chłopcach. Gdy odmówiłam... – głos uwiądl jej w gardle i zamil-ka. – Gdy oznajmiłam, że wracam do domu, uwięził mnie – wyszeptala po

chwili – w piwniczce z winami, skuł łańcuchami bym, jak to powiedział, nieco skruszała. Ażeby nie było mi tam zbyt nudno, przychodził wieczorami, pił, i... – zamilkła na dobre, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. Na kilka chwil zniknęła pewna siebie kobieta, a spod maski wyjrzało zaleknione i skrzywdzone dziewczę. Zwyczajną w takich okolicznościach podejrzliwość, zastąpiły u Tobiasa troska i wzburzenie.

– A twoi ludzie, pani? Przecież ojciec nie przysłał cię tu samej?

– Ślub miał się odbyć za miesiąc i wtedy planował zjechać do Emmerich mój tatko i reszta rodziny. Do tego czasu miałam do dyspozycji pięciu służących i pokojową, zresztą to oni pomogli mi uciec z więzienia. Dwóch zabiliście panie, tam przy bramie, trzech po wszystkim uciekło i nie winię ich za to, pokojowa zaś, zniknęła tego samego dnia, w którym zamknęły się za mną drzwi piwnicy. Teraz, syn mojego niedoszłego małżonka nie szczędzi złota na poszukiwania, stąd – zatoczyła krąg ręką – takie niecodzienne miejsce w którym się skryłam. A to – roztoczyła ciasny mankiet rękawa sukni – byście mieli pewność, że to nie rojenia rozpalonej egzaltowanej białogłowy, a czysta prawda. – Podciągnęła materiał ukazując na nadgarstkach liczne pręgi otarć.

– Pomożesz mi tedy panie oficerze umknąć, póki wasza obecność spowalnia nieczne poszukiwania?

Tobias Van Hallen liczył wprawdzie na słodką noc w objęciach pięknej kochanki i poranną ucieczkę okraszoną jedynie pustymi obietnicami, ale kim by był, gdyby nie pomógł tej biednej kobiecie? Jakim potworem trzeba być, by zabić własnego ojca i pohańbić niedoszłą macochę? Nic też dziwnego, iż ta piękna i niewinna istota postawiła wszystko na jedną szalę, próbując uciec z miasta. Powinien ją przepuścić i teraz czuł ciężar winy na swoim sumieniu.

– Pomogę ci pani.

Po tych trzech słowach, twarz kupieckiej córki jakby obmyły promienie porannego słońca, przyskoczyła do niego i złożyła na brodatym policzku mokry pełen łez pocałunek.

– Dziękuję panie, są jeszcze dobrzy ludzie na świecie. Bóg wynagrodzi ci twą pomoc stukrotnie. Ale... – widać było że radość niemal odbiera jej dech – czy warty nas przepuszczą?

– O to się nie kłopotcz, pani. W obozie pod murami jest wiele markietanek, musimy znaleźć ci suknię która mniej rzuca się w oczy i wytrzymałego konia.

– A... zapłata? – nie był pewien, czy usłyszał jak wypowiada to słowo, czy mu się tylko zdawało.

– Cóż rzekłś pani?

– Nie mam wiele, a to co mam, bardziej przynależy niewieście niżli mężowi. Jak ci się odwdzięczę za szlachetne serce? Czy chciałbyś... czy przyjąłbyś mnie panie do swego łóża... by choć w ten sposób zadośćuczynić... – spuściła oczęta pąsowa teraz niczym róża.

– A gdzieżbym mógł wykorzystać cię pani po tym wszystkim, co już stało się twoim udziałem! – Zerwał się z miejsca. – Czekaj tu na mnie za godzinę, pożycz pani jakąś suknię od córki gospodyni i czekaj. – I tyle go było widać.

Opuścili Emmerich bladym świtem, gdy wartownicy przestają z uwagą przepatrywać ciemności i z trudem powstrzymują opadające powieki. Koń, którego Tobias zarekwirował jednemu z chłopów, nie wyglądał zbyt okazale, ale sprawiał wrażenie wytrzymałego zwierzęcia. Po przejściu mimo śpiącego jeszcze obozu, wyszli na kupiecki szlak wiodący w kierunku północno-wschodnim, którym jednak w spokojny i niespokojny czas, ciągnęły kupieckie karawany wiozące towary z Amsterdamu.

– Tu się rozstaniemy pani – Tobias Van Halen pomógł niewieście wsiąść na konia i jeszcze raz sprawdził popręg siodła. – W jukach masz żywność na kilka dni i choć wiem, iż samotna podróż jest dla niewiasty wielce niebezpieczna, muszę wracać do swoich.

– Zrobiłaś więcej mój panie, niżbym oczekiwała od któregośkolwiek z obcych mi mężczyzn. Bywaj i pamiętaj podczas okrucieństw tej wojny, że uratowałaś przynajmniej jedno niewinne istnienie. – Schyliła się i ich usta przywarły do siebie. A był to tak długi i żarliwy pocałunek, iż wojakowi niemal zakręciło się w głowie.

– Gdzie mają szukać cię ludzie mego ojca, by złożyć bardziej wymierne podziękowania?

– Nie dla wdzięczności to zrobiłem, pani. Ale jeśli wola, teraz maszerujemy pod Grolle, potem gdzie wojenny los poniesie.

Do obozu wrócił na miękkich nogach.

Gdy tylko zniknął z oczu, kobieta podająca się za córkę kupca winnego Van der Groota ściągnęła lejce koniowi i skierowała zwierzę w stronę Goch gdzie jak wiedziała, udadzą się siły wierne koronie. Jej zadaniem było ostrzec Hiszpanów o każdej próbie koncentracji wojsk Republiki i zamierzała sumiennie wypełnić swą powinność wobec Boga i Kościoła, na pohybel protestanckim odszczepieńcom.

ROZDZIAŁ 2

Szeregowy Wiebbe Hayes

Bładym świtem rozległ się sygnał do wymarszu. Konnica ruszyła w awangardzie, za nią w takt werbli i piszczałek „toczył się” potwór przypominający miejscami najeżonego pikami jeżozwierz. Od Grolle dzieliły ich cztery dni pieszej wędrówki. Przeprowadzony przez część sił republiki pozorowany atak na Goch, mógł zmylić Hiszpanów, ale wszyscy wiedzieli, że ci nie dadzą się wiecznie wodzić za nos, nie z tak rozbudowaną siatką szpiegowską. Kluczowa była tu szybkość.

– Jak tak dalej pójdzie, zetrę sobie nogi do krwi – piechur poprawił ułożenie kolby ciężkiego muszkietu. Szli zwartą kolumną, wdychając pył wzniesiony stopami przechodzących wcześniej *vendelen**.

– Najwyżej dorównasz mi wzrostem – idący obok krępy wojak, splunął pozbywając się z ust drobin piasku. – A wówczas, zmierzymy się jak równy z równym.

– Z tobą Ruben, to wygram i bez nóg – mężczyzna gruchnął śmiechem, co zakończyło się kaszlem i łykiem wody z manierki. – Na Boga, mógłby spaść deszcz – sarknął, podając naczynie towarzyszowi.

– Wtedy dopiero bym się nasłuchał, o kupieckim synu brodzącym w błocie niczym żuraw.

Przez kilka kolejnych mil, szli w milczeniu oszczędzając oddech i siły. Gdy słońce weszło wysoko odbierając płucom resztę chłodu, sierżant zarządził postój. Uzupełnili wodę i udali się za potrzebą. Ten i ów zaczął metodycznie przeżuwać twarde racje żywnościowe. Ruben Bakker wraz z Wiebbe Hayesem osunęli się na trawę, opierając głowy o pień młodego, dającego niewielki cień drzewa. Mieli szczęście, wielu padało jak stali, pod gołym Słońcem i niebem.

– Co my tu robimy, Rub? – Wiebbe niemrawo próbował rozsypać troki sakwy, w końcu zrezygnowany dał spokój. Chciał teraz tylko leżeć.

* *Vendelen* – niderlandzki oddział piechoty, liczący 360 żołnierzy.

– Walczymy o nasz kraj z papistami i Hiszpanami – mruknął zagadnięty, żując zapamiętałe końcówkę żdźbła trawy.

– To niech ksiązę Hendrik wynajmie sobie więcej Francuzów, albo tych wyszczekanych wyspiarzy.

– A my będziemy siedzieć w domach? Tak? – Krępy mężczyzna wyglądał jakby chciał splunąć, ale się rozmyślił.

– Pewnie. To nie nasza walka. Co ci robi za różnicę, czy jesteś poddanym króla Hiszpanii, czy jakiegoś niderlandzkiego księcia? Czy popierasz oranżystów czy republikanów? Czy on gada po hiszpańsku, niemiecku czy francusku? Swojego władcy i tak pewnie nie ujrysz na oczy, no chyba, że zaczniesz mu się palić pod dupą i zniży się do wzniosłej mowy posyłając cię na śmierć. Oni wszyscy potrzepują grzbietów poddanych do dźwigania ciężarów, rąk do roboty i pleców, by się za nimi ukryć w czasie trwogi. Niczego więcej. Co statkowi za różnica, pod jaką banderą pływa?

– I kto to mówi? Człowiek, który nigdy nie harował by zapełnić żołądek?

– Bo nie musiałem – odciął się szybko Wiebbe. – A teraz wszystko widzę wyraźniej.

– To, po co się zaciągnąłeś do Gezów*? – Ruben wiedział, jak się skończy ta rozmowa. Stanowiła swego rodzaju rytuał, który towarzyszył im niemal od dnia zaciągu.

– Dla guldenów, wojsko dobrze płaci strzelcom.

– To gdyby Hiszpanie dawali więcej...

– Byłbym teraz z nimi – przerwał jasnowłosy mężczyzna. – A ty ze mną, jak twój ojciec przy moim.

– Hola hola, ja tu jestem dla mojego kraju. I coś ci jeszcze powiem, może się mylę, ale takiego golca nie stać na służbę.

– Ty, jako Żyd nie masz kraju.

– A niby skąd wiesz, z jakiego bagna przywędrowali kiedyś twoi? Prawdę mówiąc, wyglądasz mi bardziej na Bałta, niż... – uderzenie w ramię, ucięło ostatnie zdanie.

– Słuchaj, zarobię trochę złota na tej wojnie, wykupię udział w statku i płynę do Indii. Też mógłbyś, to nowy świat, nowe możliwości. A dla niemających nic do stracenia młodych i silnych chwatów, to istny raj gdzie władcy nie trzymają poddanych ciasno za pysk. Jeszcze nie.

* Gezowie – niderlandzcy powstańcy, kalwiniści walczący z chrześcijańskimi Hiszpanami.

– Tu jest moje miejsce Wiebbe. Może w Amsterdamie otworzę mały warsztat szlifierski, a może wróć do domu... Ech, będzie jak da dobry Bóg. Ciebie ciągle coś gnało i chciałeś więcej i dalej. Ja nie przepadam za zmianami.

Ich przyjaźń sięgała czasów, gdy obydwaj uczyli się chodzić. Rodziny Hayesów i Bakkerów żyły w Winschoten od wielu pokoleń. Stary Hayes był zamożnym, posiadającym pokaźne udziały w statku kupcem. Ojciec Rubena służył u niego i całkiem dobrze im się wiodło, a przynajmniej nie głodowali. Do czasu, gdy wysłana po herbatę i przyprawy na Jawę łajba, zaginęła podczas powrotnego rejsu, zostawiając Hayesów z długami. Potem było już tylko gorzej. Wierzyciele coraz częściej zgłaszali się po pieniądze, aż w końcu Hayes senior trafił do więzienia. Po tym wszystkim, matka zmarniała ze zgryzoty, a jej jedyny syn zaciągnął się do wojska. Sam nie był do końca pewien, czy by wypełnić kiesę, czy uciec i nie myśleć o rodzinnej hańbie.

– Zjedzmy coś, zaraz wymarsz – Ruben wyciągnął z sakwy kawał starego chleba i ząb sera.

– A ty co, niańka?

– A potrzebujesz niańki?

– Niańki nie, ale sługi.

Tym razem to Ruben popchnął przyjaciela ze śmiechem. Śmierć, patrząc na te niefrasobliwe przepychanki, zatarła sękatę dłoń.

REJZA

Drugiego dnia w samo południe, do próbujących znaleźć skrawek cienia wajaków podjechała kolumna dwukonnych wozów. Na pierwszym, obok woźnicy siedział oficer, który teraz zeskoczył na ziemię i przeciągnął się z westchnieniem ulgi. Otrzeptywał właśnie pył z munduru, gdy wąsaty sierżant wyprężył się, jakby mu kto wsadził w tyłek rozgrzany pręt.

– Sierżant Levi Noach, oddział w trakcie odpoczynku! – krzyknął.

Porucznik armii republiki przywołał go do siebie.

– Ale gorąco. Porucznik Van Halen. Mam dla was rozkazy sierżancie.

W promieniu głosu przybysza umilkły wszystkie rozmowy, a tym, którzy drzemali strudzeni marszem, błyskawicznie przeszła chęć na sen.

– Wyście podjazdy, po pięciu ludzi z każdym wozem. Mają zajrzeć do okolicznych wsi i zabrać wszystko, co nadaje się do jedzenia. Gdy staniemy pod Grolle, jego mieszkańcy raczej się z nami żarciem nie podzielą. – Mężczyzna wyjął niezbyt już czysty kawałek materiału i otarł czoło, omal przy tym nie strącając kapelusza zwieńczonego wielkim białym piórem. Nie pierwszy raz żałował, iż nie uciekł spod Emmerich z piękną hrabiną Grotenhjus, a raczej córą kupca winnego Van der Groota. A niechby i okrzyknięto go dezterterem, ale co by użył, to jego.

– Tak jest, azali brać siłą, czy...

– Macie swój rozum, choć widzę, że słaby, więc go używajcie – starannie złożony jedwab, zniknął w kieszeni munduru. – Tyle wam tylko rzeknę, że książę nie chce zadrażnień z popierającymi nas protestantami, ale głodne wojsko szybko znajduje nowego pana. Wydawajcie kwity, płatne ze skarbcza republiki – wepchnął mu w dłoń zwitek papierów – o ile rzecz jasna wygramy tę cholerną wojnę. – Porucznik nic więcej nie powiedział, a sierżant nie miał odwagi pytać. Niby otrzymał odpowiedź, ale wcale nie był mądrzejszy i tak mu się zdało, iż co by nie zrobił, cała odpowiedzialność spadnie teraz na jego głowę. Stara jak ten świat praktyka w każdej armii.

Oficer odwiązał idącego za wozem luzaka i bez słowa odjechał w stronę czoła pochodu.

– Długo bedziem tak stać? Gorąc. – Sarknął jeden z woźniców, brodaty chudzielec z wiatrem hulającym pomiędzy zębami.

– Milczeć do kurwiej suki! Milczeć! – Nawet krzyczącego, zdziwił ten wybuch, bo zamarł na chwilę. Potem wskoczył na wóz i potężnym kopniakiem posłał nieszczęśnika na ziemię.

– Komuś jeszcze gorąco?

– Czegoś nie był taki bohater przy oficerze – burknął Wiebbe Hayes, ale tak, by krewki sierżant nie usłyszał.

Pozostałych czterech furmanów z zapamiętaniem śledziło bruzdy na swoich spracowanych dłoniach.

– No. – Noach odwrócił się w stronę swoich ludzi. – Ustawić mi się w szeregu, ale już!

Trochę to trwało, ale widząc czerwieniejącego na gębie dowódcę, nie zwlekali z wykonaniem rozkazu.

– Który piśmienny?! – Niepewnie podniosło się kilka rąk. – Wystąp!

Paru wojaków, w tym Wiebbe, dało krok do przodu. Sierżant obejrzał ich niczym dobry handlarz niewolników i wskazał pięciu co roślejszych, w tym Hayesa. – Przydacie się do wypisywania wieśniakom kwitów. A teraz reszta, są ochotnicy?

Szybko skompletowano obsady wozów i po krótkiej odprawie, byli gotowi do drogi.

– Van der Kruk, obejmiesz dowództwo nad tą zbieraniną, jutro bedziem z powrotem.

Niemłody kapral skinął głową, bo o czym tu gadać.

Pół godziny od pojawienia się oficera, pięć wozów rozjechało się w różnych kierunkach. Takich podjazdów było więcej i nadchodziły ciężkie dni dla mieszkańców okolicznych wiosek. Cóż, wojna to żywiąca się nie tylko krwią bestia, a ślad po jej przejściu zabliźnia się bardzo długo. Chłoptwo, o ile nie porzuci domostw i obejść, czekają grabieże, gwałty a niekiedy pogorzelisko lub śmierć. Jeśli przeżyją, to jedynie z bożą pomocą. Puste często żołądki poprzyrastają im do krzyży, choć jest i pociecha – urosną niewiastom brzuchy a na świecie pojawiają się nowe ręce do roboty. Wojsko dba o równowagę świata, nie tylko zabiera, ale i uczy życia ciemne chłoptwo.

Na ławce prostej furmanki, tuż obok woźnicy siedział sierżant Levi Noach, a wśród czwórki żołnierzy których zabrał ze sobą, znaleźli się mieszkańcy Winschoten.

– Tośmy wpadli Rub – mruknął Wiebbe.

– Nie jest źle, nie musimy dyrdać na nogach a i do pyska coś się szybciej znajdzie – usłyszał w odpowiedzi szept przyjaciela.

– Ja to wiem, ale wołałbym, żeby tu był każdy inny, tylko nie on – wskazał ukradkowym ruchem brody sierżanta. – Dziwny jakiś i tępy, bo pisać nie umie. Inaczej, nie brałby pisarza do kwitów.

– Nie on jeden niepiśmienny... – obruszył się przyjaciel i do Wiebbe dotarło, że poszedł nieco za daleko. – Nie każdemu się powodziło na tyle, by miał guwernera.

– Wybacz bracie, ja nie do ciebie piłem. Czasem, język strzela kulami szybciej, niż muszkieter nadąży wkładać doń pociski. Kupa z tego huku i dymu, a pożytku żadnego. – Blondyn poklepał druha po ramieniu. Ten widać, nie zatrzymywał gniewu w sercu, bowiem rzekł z uśmiechem.

– Może się z sierżantem polubicie?

– Ta, a namiestniczka Izabella w ramach rekompensaty za szkody, przekaże księciu Orańskiemu swoją złotą flotę.

Zachichotali, co zwróciło uwagę podoficera.

– Co was tak... – przednie koło wjechało właśnie na kamień i Noach urwał w pół zdania chwytając się oparcia. – Do czego tak szczerzyta zębiska? – dokończył.

– Cieszymy się, że to pan nami dowodzi – wypalił bez namysłu Wiebbe.

– A tyś co taki wyszczekany? Skąd jesteś?

– Z Winschoten sierżancie. To na północnym wschodzie...

– Wiem gdzie. Mnogo tam u was Żydów.

– Tak się akurat złożyło sierżancie, ale to porządni i pracowici...

– Znam ci ja brudnych Żydów szeregowy, ajuści znam. Możeś i ty mojeszowy pomiot? – popatrzył podejrzliwie na młodzieńca. – Choć nie wyglądasz na obrzezańca z tymi jasnymi kudłami. To już prędzej twój druh. On też z Winschoten?

– Tak dowódco, my razem...

– Gównu mnie obchodzi, co tam robita razem. Żyd czy nie?!

Ruben przezornie milczał. Inna sprawa, że imię sierżanta wskazywało, że on także z mojeszowego pnia się wywodzi, ale wystarczyło młodzieńcowi rozumu by trzymać gębę w ciup. Niezręczną ciężką ciszę przerwał Hayes. – Mój ojciec sierżancie to Niderlandczyk z krwi i kości, a i matuś również. Z dziada pradziada zajmujemy się morskim handlem, a Bakkerowie są z nami od kilku pokoleń.

– A tyś wylądował na tym solidnym skipie – Levi Noach poklepał grubą deskę siedziska i buchnął gromkim śmiechem. – A co, ten twój przydupas niemo-wa? Jak żeśta się chichrali, to dawał głos?

– Pochodzę z plemienia Judy sierżancie i nie wypieram się mojej wiary i Boga – głos Rubena był niski i lekko chrapliwy.

– Tu cię mam bratku. Dobrze wiedzieć, kto pierwszy pokaże wrogowi plecy. Ale pamiętaj szczopiju, że mam cię na oku. A możeś ty zdrajca, co? Wy jeno za groszem lecita, za nic mając honor i władców? Z lichwy żyjeta i biedy porządných obywateli. I Jezusa ukrzyżowaliśta, psia krwie.

Ruben Bakker milczał, bo i co miał powiedzieć? Że kocha Republikę? Że gotów za nią i życie postawić? Sierżant i tak wiedział swoje.

– Jesteśmy w naszym wojsku sierżancie i walczymy z Hiszpanami, czego trzeba więcęj – burknął Wiebbe.

– Z gówna bicza nie ukrećisz szeregowy. Ale – machnął ręką – obaczym cośta warci w bitwie. Tyle ci tera rzeknę chłopacze, żeś ty prawie szlachta a ja zwykły

chłopski syn. I ja, Levi Noach, mogę w każdej chwili połamać twoje wydelikacyjne kulasy, albo kazać ci zeżreć psie gówno. – Sierżant zarzął niczym koń i zrobił to tak udatnie, iż jeden z ciągnących wóz szerokozadnych wałachów, zaintrygowany odwrócił łeb. – Ale nie bój nic, jest wielu papistów do ubicia. Jak mi nie podpadniesz, boś tchórz lub markierant, będzie dobrze. – Poobijany woźnica chciał coś powiedzieć, ale splunął tylko i zamknął jadaczkę z odgłosem, przypominającym wyjmowanie korka z butelki. Zaświszczał bat, konie poszły żywszym krokiem.

– Insza sprawa z tym twoim żydkiem, lepiej trzymaj się od niego z daleka, bociem do jakiegoś złego cię przywiedzie. Zdradzieckie i przewrotne to plemię.

Dymy zobaczyli godzinę później.

Wioska nie była duża, ale chałupy schludne i po obejściach znać było dostatek. Wjechali na niewielki plac w centralnej części osady i furmanka zamarała z głośnym skrzypieniem nienaoliwionych osi. Utrudzone upałem zwierzęta zwiesiły łby i woźnica pobiegł pomiędzy zabudowania w poszukiwaniu studni.

– Co tak pusto – Wiebbe rozglądał się po zamkniętych okiennicach. – Gdyby nie ujadające psy, można by pomyśleć, żeśmy tu sami.

– Przeszukać wszystkie chałupy zaczynając od tej po mojej lewej ręce! – Noach wskazał na bardziej okazałe domostwo. – Vogel, wejdiesz na wóz z nabitym muszkietem, a drugi na podorędziu. Miej gały szeroko otwarte. Reszta broń w pogotowiu, ale nie rżnąć bez potrzeby i ino na rozkaz! Zrozumiano!

– Zrozumiano! – odpowiedział mu nierówny chórek głosów.

W tym momencie drzwi jednego z domostw skrzypnęły i z obejścia na spotkanie przyjezdnym wyszedł siwowłósy starzec. Choć jeszcze całkiem krzepki, mocno utykał i musiał pomagać sobie solidnym dębowym kosturem.

– Witam jaśniepanów – zaczął z szerokim uśmiechem.

– My żadni panowie, jeno żołnierze Republiki – odpowiedział mu sierżant. – A wy dziadku katolicy czy protestanci?

– I takie są u nas i takie panie, ze wszystkimi żyjem jako Bóg przykazał, w zgodzie.

– Samiście tu?

– Reszta po chatach pochowana, strach ich zdjął na wasz widok. Mnie samojednego wysłali, bociem najstarszy, a starego przecie nie ubijecie.

– Nikogo nie będziemy rżnąć dziadku, szukamy spyży dla armii, co nas wszystkich wyzwoli spod hiszpańskiego jarzma. Dacie po dobroci, to i kwity

zastawne będą i pokój między nami. – Sierżant rozłożył szeroko ręce w przyjacielskim geście.

– Dali by my ani chybi, jeno mytnik był u nas dwie niedziele temu i zabrał co swoje, jako i wy prawiać, że to na potrzeby wojenne pójść musi. Po oborach i stodołach jeno tyle, by zimę przetrzymać i na siew starczyło. A i to wam panie powiem, że jak Hiszpanie zwiedzą się że wam pomogliśma, puszcza ani chybi wioskę z dymem.

– Wszyscy tak mówią dziadku, a wojsko głodne. Dajcie po dobroci a książę wypłaci wam się po wojnie. A wrogiem się nie frasujcie, ogień w przyszłości mniej gorący od tego, któren tu i teraz.

– Tedy nas już kruki i wrony, bom rzekł, że my zimą z głodu pomrzem. – Starzec już się nie uśmiechał a na jego twarzy zagościł gniew. – I nie godzi się straszyć gospodarza. To nasza ziemia z dziada pradziada, krew i pot oćców naszych! – srożył się coraz bardziej.

– Jak tak, to weźmiem sami. – z twarzy Noacha zniknął pobłażliwy uśmiech. Skinął na swoich – do roboty, co tak psu braty stoicie? – i sam ruszył w stronę najbliższego domostwa.

– Panie! – wieśniak zastąpił mu drogę – po moim trupie! – Mówiąc to, uniósł wysoko swój kostur. – Albo pomiarkujcie się i odejdziecie po dobroci.

Trzeba przyznać, że sierżant był szybki. Błyskawicznie sięgnął po tkwiący za pasem nóż i wbił go z głuchym odgłosem w wątłą pierś mężczyzny. Ten zaskoczony puścił kij i chwycił zaciśniętą na trzonku, śliską teraz od krwi dłoń swojego oprawcy. Nie wyrzekł już nic i po chwili, osunął się na ziemię. Z rany z mokrym plaśnięciem wyszło ostrze, a żołnierz Republiki przykucnął i spokojnie wytarł je o szaty umierającego.

– No – wyprostował się z lekkim stęknieniem – to jednej gęby do wyżywienia mniej i macie nadwyżkę! – sierżant Noach krzyczał teraz tak, by słyszano go we wszystkich domostwach. – Kto żyw ma wyjść na plac, jeśli znajdziem po chałupach ukrywających się, zapłacą gardłem oni i całe rodziny!

Przez kilka długich chwil nic się nie działo. Potem miejscowi, najpierw pojedynczo, potem grupkami zaczęli wychodzić z domów. Wielu patrzyło z przerażeniem na nieruchome ciało swojego ziomka, zapłakane matki zakrywały dzieciom oczy, mężowie w sile wieku spoglądali spode łbów na piątkę żołdaków i woźnicę. Gdy strumienie ludzi wyschły, sierżant rzucił:

– Vogel pilnuj, a reszta przeszukać obejścia!

Wioska była mała, więc nie minęło więcej jak pół godziny, gdy plac zappełnił się porykującym bydłem, kozami, kozkami z drobiem i workami z cebulą i zbożem. I nie było tego wiele, starzec mówił prawdę.

– Ładować na wóz, bydło na postronkach pójdzie za nami – komenderował zgrzany sierżant. – Hej ty! – zwrócił się do pierwszego z brzegu chłopca – przynieś piwa, jeno co by było chłodne!

Zagadnięty ani drgnął.

– Głuchys?! Rusz dupę!

– Ani mi się widzi usługiwać oprawcom – ten wyprostował się i splunął pod nogi Noacha. – Wszystkich nas nie ubijesz, a ci co zostaną, gołymi rękami skręć wam karki. Bo nam za jedno, czy umrzem teraz, czy zimą z głodu. Nawet lepiej teraz, bo mniej cierpieć bedziem.

– Pieter, co ty, no co ty... – kobieta z dzieckiem na ręku, próbowała odciągnąć krewkiego męża, ale ten strząsnął z ramienia jej dłoń.

– Ostaw Lotte, wiem co gadam. Ludziska! – zwrócił się do swoich – brońmy naszego, toż ich ino sześciu a nas kupa!

– Dobrze gada! W mordy tych zaprzańców! Widłami ich! – rozległy się gniewne głosy. Stojący z tyłu mężczyźni ruszyli w stronę swoich domostw.

Sierżant znowu wykazał się refleksem. Dосkoczył do kobiety i nim ta zdążyła zareagować, już trzymał w rękach jej ośeska. Wycofał się zaraz za linię ostrzy wystawioną przez swoich żołnierzy.

– Skoro ci zajedno kiedy umrą twoi... Pieter – zwrócił się do prowadzącego bunt – pierwszy pod nóż pójdzie twój bachor. Chyba że, wszyscy odstąpicie i dacie nam wolną drogę!

Kobieta krzyczała z przerażenia a z jej męża w jednej chwili uszło powietrze. Wieśniacy zaszemrali gniewnie, ale stali w miejscu.

– To jak będzie?!

W tym momencie nadbiegli ludzie z widłami, sierpami, siekierami i takim żelastwem, jakie kto miał w domu.

– Oddajta dziecku i cośta pokradli po chałupach, a odejdzietu stąd żywe – rzucił jeden z nich – krzepki mężczyzna z rozwichrzoną brodą. – Nie chcem zwady, ale i okradać się nie pozwolim. – W przyzwyczajonej do ciężkiej pracy dłoni dzierzył stylisko solidnej siekiery.

– A bodaj by was chłopki niewydarzone! Wiejskie głupki! Zasrańcy! Oddam wam bachora, ale w dwóch kawałkach szczurojady! Won mi stąd, póki jeszcze

nie kazałem strzelać! Won! – wściekał się coraz bardziej Noach. Pamiętał o rozkazie by nie wzniecać zatargów z miejscowymi, ale i o tym wiedział, że nie może wrócić do obozu z pustym wozem.

Gdy wioskowi ruszyli z miejsca, sierżant wcisnął dzieciaka w ręce stojącemu najbliższej Wiebbe, a sam dobył solidnego rapiera.

– Który pierwszy chce się uwidzieć ze stwórcą, posrańcy?! Kto chce dołączyć do starego bzdyka?! – kopnął leżące w piachu truchło. Znalazło się kilku i pierwszemu, stary wojak rozpruł bebech niczym worek z kaszą. Nieszczęśnik żył jeszcze, gdy trzewia wyślizgnęły się i z mokrym płasnięciem uderzały o ubitą ziemię. Jednocześnie padł rozkaz – Pal! – i kolejny wieśniak turlał się po ziemi. Reszta zamarła, ale daleko im było do kapitulacji.

Przerażony Wiebbe rozglądał się za drogą ucieczki. Rzuciłby wrzeszczącego bachora byle gdzie, bodajby i na klepisko, ale obawiał się jeszcze bardziej rozsierzdzić miejscowych. Pomysł podesłał mu chyba sam Bóg.

– Macie człowieku swojego dzieciaka – niemal wcisnął oseska w ojcowskie ręce. – Nie jesteśmy waszymi wrogami! – krzyknął trochę piskliwie. – Dajcie nam połowę tego co na placu i sobie pójdziemy!

W tłumie zaszemrało, zaczęli się naradzać. Sierżant nie odrzekł nic, ale głębiej miał czerwoną niby pomidor, przywieziony z zamorskich krain niespełna dwa wieki wcześniej.

– Weźta połowę i idźta precz! – Pieter, który jak widać miał posłuch wśród swoich, kopnął w jeden z worków z cebulą. – Ale ani jednego jajka więcej! I poskarżym się naszemu panu! Na miły Bóg, pasy z was będą drzeć!

To było dobre wyjście, wszyscy mieli świadomość, jedyne, niekończące się masakrą. Po kilkunastu minutach, z porykującym bydłem wiedzionym na sznurach, ruszyli w stronę armii Republiki.

Gdy wioska zniknęła z widoku, sierżant nakazał postój i zlaź z kozła.

– Hayes, pójdź ku mnie!

Chciał nie chciał, szeregowy stanął przed dowódcą w postawie wyprostowanej.

– Chyba uratowałeś dupy tym wsiowym głupkom – wskazał brodą kierunek, w którym leżały chałupy. – Sprytne to było, nie powiem.

Wiebbe odetchnął z ulgą, co nie umknęło dowódcy.

– Tak jakoś panie sierżancie, pomysł pojawił się znikąd – szeroki uśmiech samozadowolenia, przebił się przez nerwowo zaciśnięte usta. – Wielu ich tam, mogli i nas...

– Kto dowodzi tym oddziałem? – Noach przerwał mu w pół zdania, ale bez gniewu w głosie.

– Pan sierżancie, ale oni byli gotowi ruszyć na nas całą kupą i armia nie miałaby nie tylko żywności, ale i kilku żołnierzy, wozu i koni – wygłosił wcześniej przygotowaną odpowiedź.

– Stchórzyłeś panienko, widziałem – syknął starszy mężczyzna. Nie uśmiechał się już. Z każdym kolejnym zdaniem jego głos potężniał. – Jesteście mędrsi od swojego dowódcy?! Gdyby w wojsku każdy posraj robił to, co mu przyjdzie do łba, toby ciągle była armia, czy zwykła hołota?!

– Wydawało mi się... – pierwszy cios zgiął go w pół, kolejny wyprostował i posłał na ziemię. Skutki mocnego kopnięcia złagodził turlając się poza zasięg długich nóg sierżanta.

– Jeszcze raz zrobisz coś bez rozkazu, to cię zabiję gnoju! – ryknął Noach przyskając naokoło kropelkami śliny. – A teraz, będziesz biegł razem z bydłem, za wozem! I Żyd też, boście pewnikiem siebie warci! Zadarliście ze mną, tedy już jesteście trupami!

OBLĘŻENIE GROLLE

W okolicy Grolle dotarli nocą, z dwudziestego na dwudziestego pierwszego lipca roku pańskiego 1627. Idący przodem oddział pod dowództwem hrabiego Styrum – Hermana Otto, bez zwłoki zablokował wszystkie drogi dojazdowe. Silne podjazdy poszły do okolicznych miast: Lichenvoorder i Eibergen, by i z tamtej strony nie spotkała nacierających jakaś niespodzianka. Armia Republiki Zjednoczonych Prowincji zgodnie z planem, podzieliła się na trzy części. Na południu, w odległości ponad dwóch średnich mil, czyli poza zasięgiem miejskiej artylerii, rozłożył się obozem sam książę Fryderyk Hendrik. Na wschodzie podobnie uczyniły oddziały dowodzone przez Ernsta Casimira, a na północnym-zachodzie wojska Willema z Nassau. Zaraz też przystąpiono do budowy tymczasowych umocnień – do Hiszpanów zapewne niebawem dotrze, że celem ataku jest Grolle i kontruderzenie było tak pewne, jak pewne jest błoto po ulewnym

deszczu. Albo cebulowy oddech po tęgiej popijawie. Oby tylko dobry Bóg dał żołnierzom Republiki czas na przygotowanie obrony. Jeśli nie...

Strzelców: Wiebbe Hayesa i Rubena Bakkerą wraz z ich vendelen, przydzielono do zajmujących wschodnią flankę wojsk hrabiego Ernsta Casimira. I pomimo forsownego marszu, od razu zagoniono do kopania.

– Miałem walczyć a nie ryc w ziemi – Hayes markocił pod nosem, ale tak, żeby nie słyszał poganiający swoich ludzi sierżant Noach. Ten miał ciężką rękę i potrafił przyłożyć kolbą muskietu zbyt opornemu podwładnemu. Wiebbe zdążył się już nauczyć, że najlepiej pozostać dla sierżanta niewidzialnym. Tylko tyle, i aż tyle. Po incydencie we wiosce, ten chłopski syn, którego oby Bóg pokarał spuchniętymi jajami, wykorzystywał każdą okazję, by mu dopieć.

Nim nadszedł świt, warowny obóz był gotowy.

Słaniającego się z wyczerpania przyjaciela, Ruben zaprowadził do przydzielonego namiotu. Wreszcie mogli się położyć, dając wytchnienie wymęczonym plecom. Jasnowłosa męczyzna spał już, gdy ktoś przykrył go cienkim kocem. Śnił o domu, sobotnim targu, na który zjeżdżali kupcy i mieszkańcy okolicznych wiosek, a młodzieńcy z zapartym tchem słuchali opowieści o wielkim świecie. Widział zdobne rosą łąki i drzewo pocałunków, to samo, pod którym po raz pierwszy pocałował córkę garbarza – piegowatą Sanne. Śnił też o mamie, składającej ciepłego buziaka na czole małego Wiebbe i gorącym, świeżo wyjętym z pieca chlebie. To ostatnie było tak silne, że obudził się krztusząc własną śliną. Przez kilka chwil nie wiedział gdzie jest, a gdy przyszło zrozumienie, zacisnął mocno oczy by powrócić w ramiona Morfeusza. Udało się, tym razem starszy, współ z wesołą kompanią pił słodkie wino pod letnimi gwiazdami i obmyślał plan zdobycia serca pięknej Lisy, do której wzdychała męska połowa miasteczka Winschoten. Sanne wyrosła na kobietę zdolną ciągnąć pług i pomimo wielkich piersi i rozłożystych chętnych bioder – a i owszem, nie szczędziła mu swych wdzięków o ile tylko poprosił – to niedostępnej Lisy pragnął aż do bólu. Niestety, na cichych westchnieniach się kończyło. Nagle, towarzysze zniknęli a na ich miejscu ujrzał właśnie ją. Po prostu była i już. Uśmiechała się, zabawnie wystawiając koniuszek języka i pchnęła go lekko w pierś. Zaskoczony, upadł ze śmiechem na trawę. W niekontrolowanych ruchach zdarli odzienie. Była tuż nad nim, miękka, ciepła, poczuł na brzuchu muśnięcie twardych dziewczęcych sutków.

– Kocham cię, Lisa, jak ja cię kocham – zdołał wyszeptać, nim zamknęła mu usta pocałunkiem. Prawdę mówiąc, wszystkim dziewczkom mówił to samo i zawsze działało. Mruknęła niby kocica a jej oddech stał się szybszy.

Poły namiotu odskoczyły i rozległ się ryk dowódcy:

– Ruszać dupy, za pięć minut na placu w pełnym oporządzeniu!

Zerwali się, kręcąc przez kilka chwil półprzytomnie.

– Żeby go franca zżarła – Wiebbe splunął ze złością. – W takim momencie, w takim momencie... – poprawił nabrzmiałe przyrodzenie. – Po co Hiszpanie, sami się wykończymy i będzie po sprawie. Już teraz mam pęcherze – pokazał przyjacielowi dłonie – i ledwie utrzymam broń w rękach.

– Nic ci nie będzie paniczku, a muszkiet jak widzę – Ruben wskazał ruchem głowy na znikające wybrzuszenie w okolicach pasa – trzymasz cały czas przy sobie. Co do pęcherzy, znikną za kilka dni.

– Ty byczy frędzlu... – Wiebbe rzucił się na rechoczącego kompana i chwilę szamotali się pośród legowisk. – Śniła mi się Lisa, wiesz – Wiebbe westchnął tęsknie przywdziewając kurtę munduru.

– Ta Lisa zwana nie bez powodu, soplem? – krępy młodzieniec sapnął, wciśkając but na spuchniętą stopę.

– Ta sama.

– Słyszałem, że ojciec obiecał ją synowi burmistrza i prawdę mówiąc – drugie stęknienie i prawy but znalazł się na miejscu – nigdy nie rozumiałem, co wam się w niej tak podoba.

– Ano właśnie. Założyłem się z Emilem i Jeansem, że ten kto zwędzi Lisę nadętemu bubkowi – Andersowi, dostanie składkowe pięć sztuk złota.

– Fiu fiu, toż to majątek.

– Sam widzisz, żal było nie próbować.

– Idziemy – Ruben wyszedł na jeszcze chłodne o tej porze dnia powietrze. – Bo nam ten twój ulubiony dowódca gnaty porachuje.

Do stojącego w gotowości oddziału, dołączyli jako ostatni. Nie umknęło to oczywiście sierżantowi.

– Wietra, co was dzisiaj czeka! – zaczął, gdy szeregi ustawiły się w końcu tak równo, jak sobie tego życzył.

Głupich nie sieją, wszyscy milczeli.

– To samo, co robiliście w nocy, czyli kopanie umocnień!

Tym razem z piersi żołnierzy dało się słyszeć zrezygnowane westchnienie. Ktoś też rzucił – mamy przecież kopaczy!

– Ale nie mamy czasu, szeregowy Kuijpers – w głosie sierżanta pojawił się ojcowski ton. – Hiszpanie rzucają się nam do gardeł i dobrze będzie, żebyśma do tego czasu pobudowali ziemne forty i wały z prawdziwego zdarzenia. Opaszem też szanćami miasto tak, że te posraje wyzdychają z głodu, albo otworzą bramy. Macie jeszcze jakie uwagi, szeregowy?

Kuijpers, który zrozumiał swój błąd, przezornie milczał.

– No. Ale nie wszyscy będą babrać się w błocie, bo rację ma wasz kamrat, że od tego są kopacze. Połowa ostanie w obozie, co by nas Diegowie nie zaskoczyli z opuszczonymi portkami.

Tym razem w pomrukach, pojawił się cień nadziei.

– Zarządzam przegląd broni i biada tym, u których zoczę choćby grudkę błota czy plamkę rdzy! Muszkiet ma pachnieć oliwą niczym kobiecy krok rybami!

Ten i ów próbował na gwałt doczyszczać lufy i zamki, ale tych sierżant od razu wyłapał i odesłał na bok. Gdy podszedł do Wiebbe, młody wojak stał nieruchomo, wyprężony niby struna. Sierżant wyjątkowo starannie obejrzał jego broń, jednak, co, jak co, ale Hayes kochał swój muszkiet i dbał o niego bardziej, niż o siebie. Zresztą, był najlepszym strzelcem w oddziale.

– Ta. To ma być czyste? – Nagle, przełożony rzucił ciężki oręż na zrytą stopami trawę. – Podnieś!

Gdy Wiebbe się schylał, potężny kopniak posłał go na ziemię.

– Co jest, wydelikaczone giczoły kupieckiego synalka nie dają rady? Bieg za wozem nie pomógł?

Hayes wstał bez słowa i podał broń sierżantowi.

– Brudna! – ten wrzasnął tuż nad uchem młodego wojaka, pokazując ślady po niedawnym upadku.

– Tak jest, brudna! – usłyszał w odpowiedzi.

– A jaki ma być muszkiet, żołnierzu!

– Zawsze gotowy do użycia, sierżancie.

– No, dołącz tera do tamtych – wąsaty mężczyzna wskazał na szybko powiększający się szereg pechowców.

– Tak jest sierżancie, tylko... poproszę o moją broń.

– Słyszeliśta! Odmówił wykonania rozkazu!

Strzelcy milczeli. Sierżant Noach uczepił się Hayesa. Z drugiej strony, dopóki gnoi jednego, mniej wścieka się na innych, a to było warte o wiele więcej niż milczenie.

– Gównu dostaniesz, a nie broń szeregowy! – Wypalił w końcu, czerwieniejąc na gębę dowódca oddziału. – Kij w łapie, to tera wszystko, na co zasługuje taki szmaciarz i tchórz jak ty! Won!

– Ale to mój muszkiet, sierżancie. Nie z przydziału, tylko... – Stary wojak chwycił broń za lufę i stękając z wysiłku, z wielkim impetem uderzył nią o ziemię. Wyśłużona drewniana kolba rozpadła się na kilka części. Nikt się nie odzywał. Nawet oddychali teraz jakby nieco rzadziej i ciszej.

– Tera jest twoje – Noach rzucił żelazo w stronę Wiebbe. – I dołącz do tamtych.

Młodzieniec już bez ociągania wykonał rozkaz. W sumie, mógł się cieszyć, że przynajmniej gnaty ma całe.

– Broń! – Sierżant wyciągnął rękę po muszkiet Rubena.

– Melduję sierżancie, że brudna! – usłyszał.

– Odmaszerować!

Strzelec Kuijpers nie czekając na rozkaz, ruszył za nim.

– Stać, bo nogi z dupy powyrywam! A ty gdzie?!

– Sierżancie, to wina mojego języka! – usłyszał – moje miejsce wśród kopaczy.

– Niektórym języki obcinają głowy. – Stary wojak wzruszył ramionami. – Niech tam. Kto jeszcze łacny poddać się inspekcji?

Trzecia część, która czekała na swoją kolej, jak jeden dołączyła do pechowców.

– Kuijpers, jakieś taki wygadany, tymczasowo powierzam ci dowodzenie. Zaprowadź ich do porucznika van Dijka, ale żartko! Broń ostawcie w namiotach i tak nie potraficie zadbać o nią jak należy. A, i miej na oku tych dwóch nierobów – wskazał głową na Wiebbe i Rubena – jak uciekną, płacisz głową.

Strzelec Kuijpers z kamienną twarzą odwrócił się w stronę kompanów.

– Odstawcie muszkiety do namiotów! Słyszeliście rozkaz sierżanta!

* * *

Przez siedem kolejnych dni, osiem tysięcy żołnierzy i kopaczy otaczało miasto Grolle podwójnym szansem, zdolnym do powstrzymania obrońców przed ucieczką i zablokowania dostaw żywności, ale również podjęcia próby udaremnienia kontrataku idących z odsieczą hiszpańskich oddziałów. Szczęściem, wróg

choć podejrzenie szybko przejrzał wojenny fortel księcia Fryderyka Hendrika, zwlekał z głównym uderzeniem czekając aż podciągną idące z taborami armaty. Nie przeszkadzało mu to jednak, rozesłać szybkich podjazdów po okolicy i niewielkie strumyki dostaw, wyschły niemal zupełnie. Szczęśliwcy, którzy zostali w obozie, też nie mieli łatwo. Po ćwiczeniach, nagoniono ich do wzmacniania umocnień tak, że w kilku newralgicznych miejscach powstały całkiem solidne ziemne forty.

Byli gotowi, ale zdobycie głodem opasanego grubymi murami i solidną fosą Grolle, to nie kwestia dni, a miesięcy. Armia Republiki nie miała tyle czasu. Poza problemami z aprowizacją, kilka niewielkich grup zbiegło i by powstrzymać ten proceder, trzeba było wysłać za nimi w pościg silne konne oddziały. Wiele z nich nie wróciło pod Groole, wyciętych w pień przez czekających na takie okazje Hiszpanów.

Decyzją dowództwa, rozpoczęto prace nad okopami biegnącymi promieniście – z głównych obozów w stronę miasta. Celem było przedostanie się pod miejskie mury i detonacja potężnych ładunków prochowych, które otworzą Grolle niczym małżę.

Wraz z postępem tych prac, kopiący znaleźli się w zasięgu miejskiej artylerii i ta rozpoczęła działania nękające. Tu i ówdzie pojawiły się sarkania, które przerodziły się niemal w otwarty bunt kopaczy. Zarządził temu książę Hendrik, podwajając żołd pracującym pod ogniem, a także z własnych zapasów wydał im jenever, zwany przez angielskich najemników ginem. Wyznaczył też nagrody za wraże armatnie kule, więcej, obiecał trzysta złotych guldenów dla tej załogi, która pierwsza po zbudowaniu galerii nad fosą, dotrze pod mury twierdzy.

Trzy pracujące w pocie czoła ekipy, zaczęły ze sobą rywalizować i zapomniano o niedawnej podszytej strachem niechęci.

Wiebbe Hayes, Ruben Bakker i ich nowy kompan – Jan Kuijpers, pracowali w wykopie idącym od obozu hrabiego Ernsta Casimira. Skóra na dłoniach stwardniała, mięśnie na grzbietach piekły coraz mniej, a że dostawali solidne porcje jedzenia i napitku a sakiewki robiły się coraz cięższe, humory ich nie opuszczały. Pierwsze dni były najgorsze. Zamierali na wizg każdego przelatującego pocisku, który kończył się głuchym tąpnięciem i fontanną wzlatującej ziemi. Z czasem było coraz łatwiej, aż w końcu przestali zwracać uwagę na odgłosy bitwy. Jedno było pewne, jeśli kogoś Bóg opuści i zostanie trafiony kulą z armaty,

to koniec będzie szybki. No chyba, że dostanie w rękę albo nogę. Wtedy cała nadzieja w tym, że zemrze z upływu krwi.

To był kolejny dzień kopania i Stwórca sprzyjał wojskom republiki, przynajmniej tym ryjącym od wschodu. Cztery trupy i wykrwawiający się francuz z urwaną stopą, nie były złym wynikiem, a przeciwnik widocznie zaczął oszczędzać pociski, bowiem ostrzał wyraźnie osłabł. Rozebrany do pasa Ruben, wbił łopatę w miękką ziemię i wystawił głowę ponad szaniec.

– Gdzie to jeszcze do fosy. A ludzie księcia przy wieczornych ogniskach gadali, że niedługo wejdą w zasięg muszkietów.

– I to mnie martwi – Wiebbe otarł usta rękawem i podał przyjacielowi bukłak z wodą – kule armatnie oszczędzają, ale tych do muszkietów mają pewnie od cholery.

– A właśnie, guldeny czekają – Hayes porywając łopatę, wyskoczył z okopu. Zaraz za nim ruszył Kuijpers. Buszowali po zrytym polu, idąc niczym psy za kością. Nietrudno było odnaleźć miejsca uderzeń pocisków, inna sprawa, że niektóre weszły tak głęboko, że musieli zmitrężyć chwilę by je wykopać.

Artylerzyści wroga, czekali na takie właśnie okazje. Od kilku dni pomiędzy nimi a kopaczami trwała ta demoniczna rywalizacja. Gdy trafili jakiegoś pechowca, mury miejskie ożywały okrzykami radości, jeśli pudłowali, cieszyli się atakujący. Ważna była ruchliwość poszukiwacza – musiał skończyć nim przeciwnik korzystając ze starych nastawów zdoła powtórnie wystrzelić.

Wiebbe stęknął i wyłuskał oblepioną gliną kulę. Powietrze przeszył odgłos grzmotu. Rzucił się zaraz do biegu, w ostatniej chwili chwytając łopatę. Powrotną trasę obrał przypadkowo. Skoczył do okopu w tym samym czasie, gdy z miejsca, przy którym jeszcze przed chwilą klęczał, wleciała świeża fontanna ziemi.

– Ledwo! – Rubenowi niezbyt podobało się takie ryzyko. – Za dwadzieścia stuiverów nie warto ryzykować życiem.

– Ale się udało, nie? Muszę jakoś zdobyć pieniądze na udziały w statku i każdy srebrny gulden się liczy. – Blondyn pokazał wszystkim swój cenny ładunek. Wśród żołnierzy republiki rozległy się wiwaty.

– Srebro nie jest najważniejsze – usłyszał rzuconą ponuro uwagę przyjaciela.

– I tu masz rację, cenniejsze jest złoto – zaśmiał się Wiebbe – Kto ma wiele złota, ma wszystko. Biedacy ciągną swój los jak wół radło – w pocie i z móżdżem. A i niebo widują rzadko.

– Błuznisz.

– Bóg nie karze za mówienie prawdy. Gdzie Jan? – Wiebbe zmienił nagle temat.

Kuijpers miał dziś wielkie szczęście. Brodził po miękkiej ziemi dźwigając pod pachami nie jeden, a dwa ciężkie pociski. Nim wskoczył do okopu, spojrzał z góry z udawaną pogardą na przyjaciół:

– No i co sucze cycki? Kto lepiej... – Potem zniknął. A właściwie odleciał w krwistym rozbryzgu, a dwie żelazne kule upadły im u stóp. To, co chlapnęło na trawę wiele jardów dalej, nie przypominało człowieka.

– Zmądrzyli się kurwie syny, czekają na wracających – rzucił któryś z kopaczy i splunął w stronę miasta. – Bodaj by was... – Tym razem to na murach wiwatowano.

– Szkoda człowieka – mruknął inny.

Nadzorujący prace porucznik van Dijk ryknął:

– Koniec przedstawienia! Chcecie wygrać trzysta złotych guldenów, to za łopaty i do roboty!

– A co z tym, poruczniku? – Wiebbe szybko doszedł do siebie i wskazał na zdobyczą Kuijpersa.

– Zostaw gdzie są. Nikt ich teraz nie tknie.

– Ja mógłbym jakby co, nie obrażę się na więcej srebra...

– Bodaj by cię Hayes, nie trzymaliście się przypadkiem razem z tym Kuijpersem? Ty i Ruben?

– Jemu już na nic, a mnie się przydadzą. Na pewno chciałby, żebym je wziął.

– Rób, co chcesz. – Dowódca splunął z pogardą i odwrócił się w stronę wynoszących urobek tragarzy. – Wyciągać te giczoły szybciej, psiesyny! Co z wami do kroćset, brać pełne ładunki panienki!

Wieczorem obozowisko obiegała wieść, że jeden z armatnich pocisków wpadł wprost do okopów, idących od taborów księcia Hendrika. Wśród jego ludzi wielu poniosło śmierć lub odniosło ciężkie rany. To był największy konkurent podkomendnych porucznika van Dijka w walce o nagrodę – kopiący z północnego-zachodu ludzie Willema z Nassau nie liczyli się w wyścigu, bowiem pod warstwą ziemi natrafili na skały i musieli drażyć czasochłonne obejścia. Nie okazywano jednak radości, równie dobrze taki los mógł spotkać pozostałe dwie ekipy. Do wielu dotarło, jak niepewny jest dzień jutrzejszy i mnóstwo wojaków wysupłało z mieszków trochę zarobionego srebra na cierpkie wino i dziewczkę, których zawsze sporo kręciło się w pobliżu obozu. Zrobił się w tej materii taki

ruch, że trzeba było wyznaczyć specjalny oddział do prowadzenia list i pilnowania czasu swawolenia.

Kolejnego dnia, do kopania poszli tylko chłopci.

Odgłos bojowych werbli, zbudził wszystkich złowrogim warkotem. Na sygnał alarmu, z namiotów wyskoczyli na wpół nadzy, ale będący pod bronią żołnierze. To nie był jeszcze atak, więc mieli czas by wdziać kompletne mundury.

– Szybciej gównojady, szybciej! – Niósł się ochryply głos sierżanta Noacha, nakładając na okrzyki innych dowódców oddziałów.

Tym razem, nauczeni doświadczeniem Wiebbe z Rubenem byli jednymi z pierwszych. Gdy szeregi wyrównały, wąsaty wojak splunął im pod nogi.

– Nigdy z was nie zrobię porządnego wojska, tak, jak ze szczyń świni nie będzie piwa, choć przecie się pienia. Ale to nie znaczy, że nie spróbuję! Stjin i Kayden, co was tak długo zatrzymało w namiotach?!

– Linki pękły, gdy... Pucolowaty Stjin przerwał, widząc minę Noacha. – Nie mamy nic na swoje usprawiedliwienie – wystękał w końcu.

– Tja, wróć jeszcze do was. Słuchajta ludziska, czas zarobić na żołd! – Szedł wzdłuż pierwszego szeregu, z rękami splecionymi na piersiach. – Zwiadowcy zoczyli, że od wschodu ruszyła w naszą stronę się wielotysięczna hiszpańska armia! – Zamarł na wprost Wiebbe. – Jeśli to nie przemarsz dla rozruszania gnatów, to planują przerwanie okrążenia, na co... szeregowy Wiebbe?

– Na co nie możemy pozwolić, sierżancie!

– Właśnie. Dowództwo spodziewa się, że w południe przywloką tu swoje dupy i zaatakują z marszu. Wszyscy, nawet ci bardziej spasowani do łopaty niż muszkietu, majo zając pozycje i gotować się do obrony. Tera jasne?!

– Jasne sierżancie! Jak tylko się pojawiają, to ja im łopatą po łbie, bo muszkiet.... – Hayes zamilkł, boleśnie szturchnięty pod żebra przez stojącego obok przyjaciela.

– Jak słyszę kupczyk w dobrym humorze. – Noach poklepał młodego żołnierza po twarzy tak, jak się klepie po pysku pociesznego szczeniaka. – Tja. A i wieści niosą, że srebra za kulę w sakiewce przybyło. I za dwie martwego kolegi też przytuliłeś, boś pazerny na pieniądź. Taki zuch, mus dostać specjalne zadanie i... dostanie. – Odwrócił się i podjął wędrówkę wzdłuż szeregu.

– Dowództwo przypuszcza, że na naszym odcinku będziemy walczyli na dwa fronty: z Hiszpanami i zdrajcami z miasta, którzy pewnikiem zrobią wypad i zaatakują nam plecy! Ten oddział, stanie w pierwszej, zewnętrznej linii obrony i to

my musim powstrzymać ludzi zaprzańca – Van den Berga. Co to oznacza strzelcze Kayden?! – Sierżant zakończył swój marsz przed spóźnialskim żołnierzem.

– Że nie mamy gdzie się wycofać, dowódco – padła szybka odpowiedź.

– Zgadza się, ale to nie dotyczy ciebie i szeregowego Stjina. Widzita ten dom – Noach wskazał odległe, na wpół zrujnowane teraz domostwo, na którym wcześniej artylerzyści Republiki ćwiczyli celność nowo odlanych kartaun.

– Widzę sierżancie, co mam nie widzieć!

– To będą wasze pozycje.

– Nasze, co?

– Na kutasa najjaśniejszego pana, nie dość że kretyń, to przy tym głuchy. Tam posadziła swoje dupy i gdy wróg się zbliży do linii drzew, oddacie strzał ostrzegawczy i w nogi.

– Czyli że niby co, mamy być... przecież oni nas... jak kuraki...

– Czego nie rozumiesz Kayden? – Głos sierżanta był zwodniczo spokojny.

– Wszystko jasne! – Usłyszał w odpowiedzi.

– Muszkiet, oddaj Hayesowi, jeden wam wystarczy a w biegu będzie ci jeno zawadzał. Aha, jeśli zaczniecie uciekać zawczasu, przysięgam na Boga, że sam was ubiję.

Sierżant czekał chwilę, czujnie wypatrując na twarzach „ochotników” jakichkolwiek oznak buntu. Ale teraz gościła na nich jedynie rezygnacja.

– Myślałem, że ten sukinkot to mnie nienawidzi – szepnął Wiebbe.

– Nie bój nic, pewnie dla ciebie wymyślił coś lepszego. Mówił o jakimś specjalnym... – Jedno spojrzenie sierżanta wystarczyło, by dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

I miał rację. Hayes i Bakker znaleźli się wśród pięćdziesięciu strzelców, którymi obsadzono jeden z pomocniczych, nieco wysuniętych poza linię obrony fortów. Pewnie przypadkiem było, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i prawideł sztuki wojennej, to właśnie w tym miejscu wróg uderzy z największym impetem. Pocieszenie znaleźli w tym, że ta pięćdziesiątka to były same chłopcy na schwał. Po prawdzie też, dowodzić nimi miał nie kto inny, jak sam sierżant Levi Noach.

Zbudowana z ziemi i pni drzew konstrukcja, przypominała dwa stykające się „plecami” łukowate księżyce. Podejścia broniły ustawione na skos, naostrzone pale i fosa z gęstą szarobrunatną mazią. Wiebbe nie miał pojęcia, jak budowniczym udało się dostarczyć tu wodę, ale była i już.

Mieszkańców Winschoten ulokowano w lewym „czubku księżycy”. Przed sobą, mieli tylko zasieki i zryte żołnierskimi butami pole.

– To już lepiej, rzućmy się na Hiszpanów jak tylko się pojawiają, przynajmniej śmierć będzie szybka – Ruben splunął wprost w brudną wodę i patrzył jak ślina łukiem pokonuje drogę. – Jakby ktoś podskoczył, to się do nas wdrapie.

– Po to właśnie jest to błoto – Wiebbe wychylił się poza wąski parapet. – Strach cię obleciał?

– Nie. Kalkuluję tylko nasze szanse na przeżycie i wychodzi, że ich nie mamy. A to tam – ruchem głowy wskazał rów – na nic się zda jak ułożysz na dnie kilka trupów. A co, nawet nie muszą się wspinać, hiszpańskie działa rozbiją fort w drzazgi.

– I tu się mylisz przyjacielu – Wiebbe poklepał solidną, nieociosaną belkę, która jeszcze kilka dni temu była pniem młodego drzewa. – Odbiją się od naszych osłon, zobaczysz. A z przodu ugrzęzną w ziemi. Zginiemy z flakami wyprutymi zimnym ostrzem.

– Gadanie. Zresztą, co za różnica?

– Ruben, masz przy sobie sakiewkę? – Hayes zmienił nagle temat.

– A gdzie mam mieć? W obozie przykleiaby się komuś do ręki. Te psie syny wywęszą srebro i pod ziemią.

– To jak będzie gorąco – Wiebbe rozejrzał się czy nie ma w pobliżu sierżanta, ale ten sztorcował właśnie jakiegoś biedaka na drugim końcu fortyfikacji – uciekamy – zakończył ciszej.

– Czyś ty się opił czego? – przyjaciel podejrzliwie pociągnął nosem, ale poczuł tylko smród potu i brudu.

– Jak dłużej w płucach przytrzymać to i daje po łbie, co? – Hayes zaśmiał się cicho, ale zaraz spoważniał. – Schowamy się pod belki i udamy trupy. Potną cię trochę, a ty mnie, tak dla krwi. Gdy nas miną...

– Ja tego nie zrobię – Ruben podniósł głos tak, że kilka spojrzeń pobiegło w ich stronę.

– Ciszej mów. Jak to nie?

– A tak. Walczę za mój kraj a nie dla srebra. Zresztą – sięgnął do pasa i podał sakiewkę druhowi – masz, nie jest tego wiele, ale... kup jeśli przeżyjesz te swoje udziały w statku. Ja zostaję.

– Czyś ty się z sierżantem na rozumy zamienił? – Hayes niemal połknął własny język, gdy przypomniał sobie gdzie się znajduje. – Zginiesz – dodał ciszej – obydwaj zginiemy.

– Wola boża bracie. Ale jak przeżyjemy, srebro oddasz, co?

– Ażeby cię pokurczu, toś ty znalazł głupca do dźwigania swoich guldenów?

– I tak leżymy, nic ci nie będzie. Ale Wiebbe, jeśli chcesz, to...

– Przecież nie zostawię krajana samego – przerwał przyjacielowi blondyn. – Panie, dlaczego pokarałeś mnie towarzystwem takiego patriotycznego durnia! – Nagle, rzucił się na kompana i zaczął go dusić. Przestali się śmiać, gdy o mały włos nie wypadli na zewnątrz. Po prawdzie, więcej było w tym śmiechu hysterii, niż wesela.

– Umacniać stanowiska i obserwować przedpole. Nażarliście się czego?! Chcecie dołączyć do tych dwóch na czujce?! – Doszedł ich głos dowodzącego obroną fortu porucznika Van Halena, tego samego, który swego czasu przyprowadził im wozy. Podziało. Sierżant Noach o dziwo nic nie wyrzekł, tylko zmierzzył podopiecznych ciężkim, obiecującym piekielne męki spojrzeniem.

Już trzecią godzinę leżeli niemal w bezruchu, na szczęście drewniane zadaszanie zatrzymywało piekące tego dnia słońce. Wszędzie stały cebry z wodą, i puste, na rzadką szaczkę. Z wielu nieobytych z wojaczką żołnierzy, ciepło teraz jak z dziurawych beczek. Smród za tym szedł po szajcach, mieszając się z wonią ziemi, potu, smaru i strachu. Gdy rozpocznie się bitwa, wszystko to przykryje siwa prochowa mgła a zasrańcy będą musieli walić w portki.

Tak jak przewidywał książę Hendrik, chcąc wziąć wolnych Niderlandczyków z zaskoczenia, wróg zaatakował z marszu. Stjin i Kayden nie zdołali dobiec do zasieków, kule skosiły ich w połowie drogi. Byli pierwszymi z setek o ile nie tysięcy ludzi, którzy tego dnia stracą życie w walce o miasto Grolle.

Hiszpanie szli srebrzącą się w słońcu ławą, szereg za szeregiem i zdawali się niepokonani wybijając równy rytm podkutymi butami. Byli niby mieniaca się rtęć, która zachłannie pochłania kolejne piędy terenu. Nagle, z ich piersi wydobył się gromki okrzyk i na rozkaz swoich dowódców, przyspieszyli kroku.

W tym momencie ubrani w jednakowe metalowe kiryсы i srebrne moriony na głowach, dotarli do linii zakopanych w ziemi nasmołowanych beczulek z prochem i drobnym żelastwem. To po to zginęła dwójka strzelców z oddziału Wiebbe, by mineryzy w odpowiednim momencie zapalili lonty. Nie wszystko poszło zgodnie z planem, z sześciu wybuchła ledwie połowa, ale i tego było dość.

Doszedł gęsty ostrzał z linii zasieków i wrogi dowódca nakazał odwrót. Wycofali się zabierając rannych i zostawiając zabitych. Wśród Niderlandczyków i ich najemników, rozległy się okrzyki triumfu. Ale było przedwcześnie na wiwaty.

Tym razem Hiszpanie poprzedzili atak ostrzałem artyleryjskim.

– No, to się zaczyna. Oby dobry Bóg miał nas w opiece. – Potężnie zbudowany wojak zajmujący pozycję po prawej ręce Rubena, przeżegnał się nabożnie. Na mieszkańcach Winschoten, którzy ostatnie dni spędzili kopiąc w takich warunkach, te odgłosy nie zrobiły wrażenia. Do czasu, gdy pociski zaczęły uderzać w stropowe belki.

– Mają siedem dział – Ruben wskazał kompanowi na stojące na skraju lasu kartauny. Przypominały teraz stwory z piekieł, wysuwające co jakiś czas ognisty jęzor i plujące kłębamii siwego dymu.

– To, że może przed śmiercią ogłuchnę nie znaczy, że jestem śle... – Ostatnie słowo przerwało potężne uderzenie w dach fortu. Towarzyszył mu głuchy odgłos jakby olbrzymiego bębna i lawina sypiącego się na głowy pyłu.

– Mówiłeś, że wytrzyma – Bakker wytrzępywał drobiny z włosów.

– A co miałem mówić? – Hayes powtórzył gesty przyjaciela. – Nie jestem budowniczym fortów.

– Spokój i czekać! – Sierżant Levi Noach rozdarł japę, a głos miał przecież potężny. – Nisko łby przy belkach, bo wam je posrańcy wyrwą razem z jajami!

Wielkie żelazne kule uderzały teraz coraz częściej w umocnienia. Jedna trafiła tak pechowo dla obrońców, że deszcz drzazg dotkliwie poranił kilku ludzi. Inna wleciała przez otwór strzelniczy, by porywając ze sobą czyjś kapelusz, wybić dziurę w tylnej, cieńszej ścianie.

Kanonada nie ustawała, gdy do ataku znowu ruszyła piechota. Szli przez tereny, które jeszcze niedawno były uprawnym polem. Konia z rzędem temu, kto by teraz poznał, co tam kiedyś rośło. Oddziały pikinierów maszerowały po bokach formacji, środek zostawiając muszkietierom. Gdy znaleźli się w zasięgu, co pięćdziesiąt kroków na głośny rozkaz dowódcy przystawali, by wbić w miękką ziemię podpórki i oddać morderczą salwę. Siwy dym przesłaniał na chwilę ich szeregi. W takich momentach, obrońcy chowali się pod osłonę ziemnych wałów, by, gdy palba milkła, odpowiadać nieregularnym, ale skuteczniejszym ogniem.

– Patrz jaki cudak – Wiebbe wskazał na hiszpańskiego kapitana. Długi, sięgający do trzech czwartych uda pomarańczowy wams z bufiastymi rękawami, wyglądał niby jęzor ognia w suchym lesie. Pierś okrywał mu metalowy, błyszczący

w słońcu kirys pięknie współgrający z zdobnym w pióra hełmem i szpadą w wyciągniętej ręce.

– Cudak nie cudak, ale swoi go widzą i całkiem odważnie sobie poczyną – mruknął Ruben.

Właśnie w tym momencie, Hiszpan wydał komendę i tylny szereg wystąpił z muszkietami gotowymi do strzału. Obrońcy znowu pochowali głowy by przeczekać grad ołowiu.

– Sztuka złota dla muszkietera, który oskubie tego czyżyka – na okrzyk sierżanta tuż nad swoim uchem, zaskoczony Wiebbe omal nie wyskoczył ze skóry. – Dalejże kupiecki kmiecie, pokaż nam, że byłeś wart żarcia któreś w siebie wrzucił!

Wiebbe nie trzeba było dwa razy powtarzać, nie zważając na trwający jeszcze ostrzał, zajął pozycję, przymierzył i wypalił.

Hiszpański kapitan zachwiał się, chwycił za zakrwawiony policzek, ale ruszył do przodu.

– Tak jak żem myślał posraju, w prawdziwej walce nie będzie z takiego pożytku. – Noach splunął, o włos omijając twarz strzelca i odczołgał się w stronę środka formacji.

– Gdzieś ty celował? – prychnął młody Bakker.

– W oko. I gdybym miał swój muszkiet, który mi ten... – nie dokończył, bowiem wróg ostatnie metry pokonał biegiem.

Pomimo dużych strat, Hiszpanie zdolali dotrzeć pod drewniano-ziemną palisadę fortu. Broń Rubena była tak gorąca, że gdyby co jakiś czas nie schłodził lufy wodą, ładunek prochu wybuchłby mu podczas nabijania. – Są pod nami! – krzyczał. Szczypiący dym ścielił się gęstą mgłą nad szaniami. Całe szczęście, bowiem utrudniał celowanie muszkietom wroga. – Obleżą nas zaraz jak muchy gównem!

Gdy czyjaś głowa wychyliła się ponad parapet, kłęczący Wiebbe ładował właśnie broń i niewiele myśląc, z impetem wbił lufę w otwarte do krzyku usta niebezpiecznika. Ten z potwornym kwikiem poleciał na plecy.

– Rapiery! Już są! – Rozdarł japo, ale zrobił to bardziej by dać upust strachowi, bowiem Hiszpanie atakowali na całej szerokości.

– Na dach durne pały, bo nam przeleżą po głowach i nakopią do zadków! Zostaje co trzeci! – krzyknął pokasłując sierżant Levi Noach. Porucznik nie mógł wydać tego rozkazu, zbłąkana kula muszkietu weszła mu okiem by idąc po skosie ugrzęznąć w czaszce. Nim skonał – dziwne są ostatnie chwile umierającego –

pomyślał o pięknej córce kupca winnego z Amsterdamu. – Zważ Boże ten dobry uczynek gdy nadejdzie dzień sądu – wyszeptał bezkrwistymi wargami i skonał.

Wiebbe i Ruben zgięci niemal w pół, wycofali się na tyły i za sierżantem wspięli na drewnianą platformę. Trzydziestu strzelców szykowało się do obrony czegoś, czego nie sposób obronić ze znacznie większymi siłami. Dopiero teraz można było zobaczyć liczne spękania i głębokie bruzdy powstałe wskutek niedawnego ostrzału.

– Jeszcze trochę, i...

– Uwaga! – Wiebbe wypalił z muszkietu do Hiszpana, który z nożem w dłoni rzucił się na zajętego wydawaniem rozkazów sierżanta. Zaskoczony Noach cofnął się kilka kroków i potrząsnął łbem niby byk przed szarżą.

Za zabitymi szli jednak żywi i po chwili mieli naprzeciw siebie silny oddział w srebrnych kirysach.

– Posraje w Winchotten osłaniają, dziesięciu rapiery w łapy i za mną! – Wydarł się krewki dowódca i rzucił do ataku jakby sam jeden chciał wygrać tę bitwę. W kilka chwil zepchnęli Diegów, nim ci zdolali umocnić się na nowych pozycjach. Nagle, sierżant zaczął słaniać się jakby rażony raz za razem potężnymi ciosami pięści. W końcu zgiał się w pół i spadł wprost pod buciory atakujących. Ten sam los spotkał niemal cały pierwszy szereg, bowiem strzelcy wroga wyko-rzystaliby nadarzającą się okazję.

– Cofnąć się, do połowy dachu, już! – Wiebbe przejął dowodzenie i o dziwo, część ludzi go posłuchała. Reszta zginęła w kolejnej strzeleckiej palbie.

– Co drugi nabijać muszkiety, reszta rapiery i za mną! Jak tylko zasłonią nas przed ogniem swoich, atakujemy! Gdy ich zepchniemy, szybko wycofujemy się pod osłonę zadaszienia!

Hiszpanie, najpierw wietrząc pułapkę, potem coraz śmielej wdrapywali się na dach fortu. Zostawili broń palną na dole i stali teraz naprzeciw obrońców z rapierami i mieczami w dłoniach.

– W nich!

Nierówny szereg dał trzy kroki i rozpoczęła się taka walka, jaką ludzie toczyli i przed setkami lat: piersią w pierś, żelazem w żelazo. Wiebbe z rapierem w jednej i sztyletem do zasłon w drugiej ręce, uskoczył i ciał po nogach brodatego napastnika, który w tym samym czasie próbował przebić gardło jasnowłosego woja. Zaskoczony żołnierz upadł a silny kopniak posłał go w tłum kłębiących się na dole towarzyszy. Zaraz też, jednego zastąpiło dwóch innych wrogów.

Nieregularny ogień zza pleców, dawał obrońcom chwile wytchnienia, ale był coraz rzadszy. Strzelcy rzucali muszkiety, dobywali broni białej by zastąpić zabitych lub rannych druhów.

Nagle, walczący obok Ruben stęknął wypuszczając oręż z bezwładnej dłoni. Z boku, z miejsca troczenia kirysa, wystawał mu trzonek solidnego noża. Właściciel właśnie gotował się do dokończenia dzieła, gdy ostrze rapiera klęczącego Hayesa, weszło pod kątem w brodę, by pchane dającym siłę przerażeniem, wyjść czubkiem głowy.

– Rub, na tyły, na tyły! – Wiebbe nie mogąc wyciągnąć żelaza z rany, sięgnął po broń przyjaciela i wstał. Nie zdołał zablokować ciosu kolejnego Hiszpana i czas jakby zwolnił. Ostrze przeszło miękkiego materiału a wróg wyszczerzył zęby w upiornym grymasie. Zastąpiło go zdziwienie, gdy rapier natrafił na sakiewkę z rubenowym srebrem i nim zrozumiał co się dzieje, Wiebbe rozplątał mu gardło sztyletem. Czuł, jak z rozciętego mieszkówka wysypują się na umazane krwią belki guldeny i stuivery, ale miał poważniejsze zmartwienia na głowie. Hiszpanie teraz wyraźnie przeważali i resztką obrońców zbiła się w ciasną grupkę wokół swoich ciężiej rannych towarzyszy. Nie było prób poddania, ale też nikt nie oferował łaski.

Nagle, z odległych, zajmowanych przez wojska zdrajcy hrabiego van den Berga pozycji, doszedł bitewny harmider. Ludzie na dachu fortu, bez względu na reprezentowaną stronę, zamarli. Mieli doskonały widok na pole walki. Kilka pułków niderlandzkich ciężkozbrojnych kirasjerów, w nagłym ataku, odrzuciło Hiszpanów od dział, by po wybiciu załóg i zagwoźdzeniu kartaun, nawrócić i po łuku i ruszyć galopem wprost na toczącą bój przy szańcach piechotę.

Walczący wręcz na całej długości okopów strzelcy, nie mieli czasu na załadowanie muszkietów, pikinierzy nie byli w stanie ustawić się w zwartą formację i Hiszpanie poszli w rozsypkę w zderzeniu z masą rozpedzonych ludzi i zwierząt. Holenderska konnica galopowała wzdłuż tymczasowej fosy, zostawiając za sobą krwawe, usiane ciałami błoto.

Zdrajca van den Berg widząc co się dzieje, wysłał na spotkanie niderlandzkiej jazdy – la bride – swoje ciężkozbrojne konne oddziały, ale gdy te znalazły się w zasięgu strzału, przywitały je kule z okopów a całości dopełniła kanonada z czkających na taką okazję dział Republiki Siedmiu Zjednoczonych Prowincji. Tego było już zbyt wiele, znowu zarządzono odwrót.

Rozbity przeciwnik, wycofał się pod osłonę drzew by przeorganizować siły i zastanowić się co dalej. Było pewne, że hrabia nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, ale bez działań i posiłków, jego szanse na sukces bardzo spadły. Musiał też martwić się ewentualnym kontrnatarciem buntowników, które mogłoby się zakończyć całkowitym rozbiciem jego armii.

Hiszpanie na dachu fortu, rzucili broń. Wyglądało to dziwnie, gdy ich dowódca, mając za plecami trzydziestu chwatów, oddawał się do niewoli Wiebbe z trzema i to poturbowanymi u boku. Na szczęście zaraz pojawiły się odwody i przejęły jeńców.

Wyczerpany Hayes opadł na kolana tuż przy głowie przyjaciela.

– Udało nam się Rub. Sam nie wiem jak, ale przeżyliśmy. Dasz wiarę, że to ten sukinkot Noach uratował nasze dupy? Prędzej spodziewałbym się dowództwa nad własnym statkiem. Nie bój nic, oddam ci ten mieszek i wypełnię swoim srebrem, co mi tam. – Patrzył na niedawne pole bitwy niewidzącym wzrokiem. Minęło kilka chwil nim do zamroczonego wyczerpaniem i prochowymi wyziewami umysłu dotarło, że nie otrzymał odpowiedzi. Zrozumienie przyszło zaraz potem. Wierny druh i niemal brat, leżał martwy pokazując niebu zęby. Śmierć jak to ma w zwyczaju, wygładziła twarz i wyglądał na ledwie młokosa.

– Nawet ciebie zabrał mi Bóg – Wiebbe nie płakał, był na to zbyt zmęczony i odwodniony. Krew płynąca z wielu płytkich ran, barwiła szkarłatem potrzaśkane belki bunkra. – Co jeszcze stracę, nim dojdę do końca drogi – wyszeptał. Potem zemdlął.

Jeszcze tego dnia w obozie republikanów odbyła się wielka uroczystość, podczas której sam książę Frederik Hendrik w asyście hrabiów: Casimira i Willema z Nassau, uhonorował nielicznych żywych obrońców fortu numer trzy. Ranne-mu, podtrzymywanemu przez towarzyszy Wiebbe Hayesowi wręczył w dowód wyróżnienia swój własny, inkrustowany srebrem i złotem muszkiet. Gdy ten zaczął protestować, przerwał mu unosząc władczo upierścienioną dłoń.

– Niewiele mogę dla ciebie zrobić synu, więc niech mi będzie wolno chociaż to. Słyszałem o twoim zatargu z sierżantem... jak mu tam? – Popatrzył na Casimira.

– Noach, panie.

– Z sierżantem Noachem, oby dobry Bóg powołał go do siebie. Zginął walcząc za swój kraj, jak wielu innych dzielnych mężów. Utarliśmy jednak nosa

mojemu kuzynowi – van den Berghowi i oddziały miejskie też oberwały po kulasach – zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było wesołości.

– Takich ludzi nam potrzeba w siedmiu prowincjach, a przepędzimy Hiszpanów i papistów na cztery wiatry! – Zakrzyknął a tłum odpowiedział owacją.

– Obejmiesz oddział po swoim sierzancie, synu? – Zwrócił się do Wiebbe. Ten milczał zaskoczony, by w końcu wolno pokręcić głową.

– Nie panie, zapłaciłem cenę, której nie byłem gotowy uiścić. Dojdę do siebie, ruszam na morze by żyć tak, jak kiedyś mój ojciec i jego ojciec.

– Szkoda, ale oddałeś już narodowi daninę krwi a i nieprędko staniesz na nogi więc żadna strata. – Odchodził, gdy nagle czymś tknięty zamarł.

– Twój rodziciel jest kupcem, macie statek?

– Mój ojciec splajtował panie i za długi gnije w lochach w Winschoten. Zaciągnę się na jakiś z Kompanii.

– A to się dobrze składa... wybac mi młodzieńcze – książę przerwał widząc minę Wiebbe. – Mam jedynie na myśli twoje morskie plany. Od przyjaciół w dyrektoriacie Vereenigde Oostindische Compagnie wiem, że niedługo rusza do Indii Wschodnich konwój, w tym ich najnowszy okręt „Batavia”. Co powiesz na rejs na Jawę w szarży kaprała?

Wiebbe milczał, nie wiedząc co powiedzieć. Marzył o byle jakiej krypie, której kapitan weźmie każdego kto ma trochę srebra. Gdybyż jeszcze był tu Ruben. Bąknął tylko – Tak, jaśnie panie.

– No, to załatwione. Jak wydobrzejesz, zajdź młodzieńcze do mojego pisarza – da ci list polecający do kapitana statku.

– Panie, a... – głos na chwilę uwiązł w gardle Hayesa. – A mój rodzic?

– Jego syn spłacił długi krwią, jestem pewien, że sędzia weźmie ten fakt pod uwagę.

Zgromadzony tłum, długo wznosił okrzyki na część tak hojnego i dbającego o prostych żołnierzy wodza. Książę Hendrik wiedział, że okazując szczodrość jednemu, zyska serca tysięcy biedaków, dla których armia ma jedynie drewniane trumny, albo i tego nie. Wsiadł na konia i majestatycznie odjechał ze swoją świtą. To nie był jeszcze koniec wojny z Hiszpanami, to nawet nie był początek tego końca.

OJCIEC

Gdy Wiebbe przybył do Winschoten, z ojcem było źle. Spotkali się w ciemnej i zatęchłej celi, której jedyne małe okienko, bardziej ożywiało tęsknotę za światem, niżli rozjaśniało pomieszczenie. W kilka miesięcy postarzał się o wiele lat – przebiegła synowi przez głowę pierwsza myśl. – Ledwom go poznał. Boże miłościwy, ale smród.

Stary człowiek zmrużył oczy podrażnione blaskiem lampy łożowej. Gdy nowoprzybyły stanął w pobliżu brudnego zapluskwanego siennika z miską bulionu w dłoniach, na twarzy więźnia pojawiło się najpierw niedowierzanie a potem radość.

– Bóg jednak jest litościwy, że pozwolił mi ciebie zobaczyć przed śmiercią Wiebbe, synku – westchnął jakby pozbywając się wielkiego ciężaru.

– Nie mówcie tak ojcie – młodzieniec przełknął rosnącą w gardle gulę – wyciągnę was z tej jamy, obiecuję.

– A jak zamierzasz ominąć strażę? – Stary zakasłał i ze świstem wciągnął powietrze. – A potem przekonać wierzących, żeby nie przywlekli mnie tu z powrotem?

– Zasłużyłem się u księcia Hendrika na wojnie z Hiszpanami i mam pismo... – wojak poklepał się po piersi. – Wypuszczą was ojcie, zobaczycie. Po to właśnie przyjechałem do Winschoten.

Obydwaj Hayesowie starali się nacieszyć chwilą i zapadła łapczywa cisza. Taka, rozbrzmiewająca między spętanymi silnymi więzami uczuć ludźmi, których pozbawia mowy świadomość nadchodzącej straty i cisnące się na usta setki słów i wyznań.

– To co dobre synku, jest już poza mną. Matka i ja... – więzień pierwszy złamał zakłęcie i rozkasłał się plując krwią na utrzymaną w zaciśniętej garści, białą niegdyś chustę. Młodzieniec dopiero teraz zauważył, jak żylaste i pełne żółtych plam są ojcowskie dłonie. – Moja Elise już w Panu i na mnie czas.

– Nie mówcie tak ojcie, zabiorę was stąd, znajdziemy dobrego doktora i...

– Nie pleć głupstw – młodzieńcowi stanął przed oczami dawny Bran Hayes, który często rozmowy z synem kończył właśnie w ten sposób. Więzień westchnął głęboko i opadł na siennik z przymkniętymi oczami. Cisza trwała tak długo, że Wiebbe przyłożył ucho do jego piersi i zaczął nasłuchiwać oddechu.

I dzięki Bogu tliło się jeszcze życie w rodzicielu. Gdy wstał, ten patrzył na niego z cieniem cienia wesołości.

– Niebawem synku, ale jeszcze nie teraz. Wiesz, najbardziej boli, że zostawiam cię samego a świat ma więcej kłów niżli puchu. To tak, jakbym... jakbym zmarnował swoje lata – wyszeptał – puścił cię w świat bez ciepłych ubrań, bez srebra w sakiewce, bez domu, który zawsze jest i czeka – szept zamierał aż uciął całkowicie.

– Nie martwcie się o mnie ojczy, mam dwie ręce to sobie poradzę. Zdobędę za morzem majątek i znowu ludzie będą nas szanowali. Ale zanim was stąd zabiorę, zjedzcie tak, na wzmocnienie – Syn przytrzymał ojca i wlał w jego spękane usta trochę ciepłego bulionu. Pomogło, więzień odzyskał nieco sił.

– Złoto nie jest najważniejsze...

– I wy to mówicie? – Przerwał podnosząc nieco głos Wiebbe. – Wy ojczy, którzy na własnej skórze doświadczyliście, co znaczy być bankrutem?

– Ja synu, bo moje dni dobiegają końca i jedno wiem na pewno, nie zabierzesz do grobu nic z tego świata, choćbyś i zdobył fortunę za życia. Nic, prócz mam nadzieję wspomnień i poczucia, że spędzone tu lata były owocne. Albo zmarnowane, jak u mnie.

– Właśnie o tym mówię ojczy, mając złoto można uszczęśliwić siebie i innych.

– Czy na pewno? Wiesz, moje kupieckie dni zawsze były pełne trosk: o jakość i cenę kupowanego towaru, o jego wartość dla odbiorców, o sztormy na morzach, urodzaj lub jego brak, dzielność statku czy pirackie rajdy. Bałem się też rabunku, tu u nas, w Winschoten. To zamartwienie i ciągła próba wybiegania pięć kroków do przodu, zdały się na nic, gdy Bóg zechciał wystawić mnie na próbę i zatopił nasz statek. A ludzie żyjący po bożemu z dnia na dzień, nie musieli i nie muszą dźwigać tych ciężarów. Niejeden raz widziałem ich beztroskich i cieszących się z prostych przyjemności, podczas gdy mnie zżerały pospół strach i obawa. Nie popełnij tego samego błędu, Wiebbe.

– Nie mówcie tak ojczy, dobrze nam się żyło za to złoto, w ciepłym domu i z pełnymi brzuchami. Jesteście chorzy i wszystko przybrało ciemną barwę.

– To jedno prawda i nie wypieram się tej wygody. Ale to samo złoto pozbawiło mnie spokojnych snów, wpędziło do więzienia, a twoją matkę... – przełknął głośno ślinę. – A i popatrz co zostawiam, jednego tylko syna? Golca, który musi zaczynać wszystko od początku?

– Wydobrzejecie, to życie wyda się wam lepsze.

– Nie wydobrzeję – stary znowu się rozkaszał i minęło kilka długich chwil nim mógł mówić. – Daj synku jeszcze tego bulionu, pomaga.

Kolejne minuty wypełnione były cichym siorbaniem, mlaskaniem i błogimi westchnieniami więźnia. – Ale to dobre – wysapał, gdy drewniana łyżka skrobnęła o dno miski. – Jest coś, co powinienem ci powiedzieć. Coś, co muszę ci powiedzieć synu – stary Hayes opadł na brudny zbitek szmat, zastępujący poduszkę. – Nieszczęścia, które spadły na mój ród, to zapewne kara boska za to, co uczyniłem w młodości. Wypowiadałem się już, ale widać to zbyt mało. I choć nie mam prawa cię prosić, obiecaj, że dołożysz sił by naprawić wyrządzone przeze mnie zło.

– Jeśli zdołam... – młodzieniec spojrzał na ojca z nową, podszytą obawą ciekawością. – Nie spłacę dłużników, ale...

– Ech – starszy z mężczyzn machnął niecierpliwie dłonią. – ja nie o tym. Gdy moja Elise była brzemienna z tobą Wiebbe, źle znosiła brzemiennność i mędyk zabronił nam polegiwać ze sobą. To nie tłumaczy tego co zrobiłem, ale... – umilkł zbierając siły i myśli. – Lynn była naszą służką, wesołą młodą pannicą, której śmiech rozbrzmiewał w całym domostwie. Daliśmy jej kąt, bo była ubogą krewną twojej matki. Któregoś wieczoru, gdy wypilem za dużo wina, poszedłem do komnat dla służby, i...

– Dajcie spokój ojcze, to stare dzieje.

– Czekaj czekaj synku, to jeszcze nie koniec – starzec z trudem wsparł się na łokciach. – Wziąłem ją siłą, choć się opierała. Po wszystkim zabroniłem mówić komukolwiek o tym, co się stało. Nie miała gdzie pójść, więc milczała, a ja w jakimś szaleństwie, chodziłem do niej częściej znajdując przyjemność pomimo dziewczęcych łez. – Wiebbe patrzył, jak po wymizerowanym ojcowskim obliczu płyną dwie słone krople, meandrując pośród świeżych i starszych bruzd. – Gdy powiedziała, że jest brzemienna, zbilem ją i wywaliłem z domostwa. Bałem się, że powie o wszystkim Elise. Jak się później dowiedziałem, zmarła przy połogu gdzieś w rynsztoku, wydając na świat syna.

Ciszę, która zapadła po tym wyznaniu, można było kroić tasakiem.

– Mam go odnaleźć, ojcze? – Młodzieniec nie znał rodziciela od tej ciemniejszej strony. – Jeśli taka wasza wola...

– Dawno już to zrobiłem głupcze – stary mężczyzna podniósł nieco głos. – Wybacz Wiebbe, na siebie się złoścę a w ciebie rzucam słowami. – Rozejrzał się trwożnie wypatrując ciekawych uszu i ściszył głos. – Coś tam jednak zostało,

w skrzyni pod podłogą sypialni. Podziel to synu równo na dwie części. Daj mi parol, że nie zatrzymasz wszystkiego dla siebie.

– Tak będzie ojcie. Gdzie mam go szukać?

Mężczyzna opadł z westchnieniem ulgi na brudny siennik. – Zabrałem dziecko i dałem na wychowanie Bakkerom a oni, przyjęli go jak własnego. Wiem, że się lubicie z Rubenem i wspierałem jak mogłem tę waszą przyjaźń. To w końcu twój brat, krew z krwi – umilkł.

– Ruben Bakker zginął w bitwie pod Grolle – wyszeptał zmartwiałymi ustami Wiebbe. Walczyliśmy razem, i...

Ojciec przymknął oczy i jakby uszło z niego życie. Nagle targnął nim gwałtowny spazm, potem znieruchomiał z dziwnie wykrzywiona połową twarzy. Nie odezwał się już.

Następnego dnia sędzia spełnił książęcą prośbę i wypuścił starca na wolność, a syn za dwa srebrne guldeny opłacił miejsce i miesięczny wikt w starej, rozpadającej się gospodzie. Było pewne, że rodziciel nie pożyje tak długo, więc targował się z wąsatym szczwanym karczmarzem o każdego stoibera. W końcu przybili umowę i były więzień zajął pokój nad stajniami, z dziurawym wprawdzie dachem, ale lepsze to od ciemnicy, która przez wiele miesięcy była jego domem. Gospodarz zażądał jeszcze ćwierć florina na pochówek i choć z ciężkim sercem, Wiebbe rozsuptał sakiewkę. Co miał robić, oddać ojca do miejscowego kościoła? Zabrać ze sobą w świat? Tańsze kwatery znajdowały się jedynie na miejscowym cmentarzu, ale bez wikt i opierunku.

Stary Bran Hayes od rozmowy w celi, milczał. Ostatniego dnia przed wyjazdem syna, próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie niezrozumiały bełkot. Oczy spoglądały jednak żywo i to pożegnalne spojrzenie, Wiebbe miał zapamiętać do końca swoich dni. Był w nim smutek, zmęczenie i zgoda na to, co nieuniknione. A pod tym wszystkim, niby rekin czający się pod lustrem wody, czyhał potworny strach. I to on zmienił twarde niegdyś ojcowskie spojrzenie, w to dziecięce, zależnione i szukające pomocy dorosłych.

Po nieruchomej twarzy młodego muszkietera, bezwiednie popłynęły łzy. Nie chciał tych piekących kropel, ale nie zdołał ich powstrzymać. Przypadł do łóża i przycisnął mokrą twarz do wątej ojcowskiej piersi. Jego ciałem targał szloch. Nagle, poczuł palce we włosach i usłyszał niewyraźny, ale tym razem zrozumiały szept – będzie dobrze synku, Bóg jest z tobą, wszystko będzie dobrze.

Wiebbe obiecane gołota nie znalazł, bowiem, o czym nie wspomniał umierającemu, rodzinny dom dawno splądrowano i spalono, zapewne z podszeptu jakiegoś wściekłego wierzyiciela. Nic już go nie trzymało w niewielkim i zaprzyjaźnionym Winschoten. Mało tego, pragnął uciec i zapomnieć. Nie, nie chciał zapominać. Stojąc na rozstaju dróg poprzysiągł sobie w duchu, że zemści się na sąsiadach, którzy porzucili jego bliskich w potrzebie. Długie lata żyli obok siebie, ucztowali, poklepywali się ze śmiechem po ramionach, by gdy zatonął statek udawać, iż Hayesowie przestali istnieć. Na widok idącej poboczem matki – ojciec już wtedy gnił w celi – kumoszki przechodziły na drugą stronę, jakby można było zarazić się bankructwem. Nawet psu czasem okazuje się łaskę w biedzie... Przysiągł więc też przed Bogiem, że wróci tu jako człowiek bardzo majątny i doprowadzi wierzycieli ojca do ruiny, by zasmakowali tego samego spleśniałego chleba, który stał się udziałem jego rodziny. Zrobi wszystko, by zmyć tę plamę na honorze rodu. Powodowała nim jednak nie tylko chęć zemsty. Z beztroskiego i naiwnego młodzieńca, zmienił się w pozbawionego złudzeń mężczyznę. Tylko bogactwo daje prawdziwą wolność i szacunek innych, a bajki o szczęśliwym ubóstwie, dobre są dla umierających oraz cierpiących ciągle niedostatek bezrolnych chłopów. – Zrobię to też dla ciebie Rub, bracie – wyszeptał ruszając w drogę do Amsterdamu, gdzie czekała flota VOC i statek „Batavia”. – I dla ciebie ojciec. Zasypię złotem całe to przeklęte miasteczko, a potem spalę do cna. Zapłacę za każdą łzę mojej matki.

Podziękowania

Składam podziękowania mojej żonie Krysi, bowiem niełatwo żyje się z pisarzem, gdzie konkurencja licznych wymyślonych kobiet i postaci jest ogromna. Moim dzieciom, o które mogę się oprzeć, ilekroć tego potrzebuję – a zdarza się to i zapewne będzie zdarzało coraz częściej.

W tym konkretnym przypadku najgorętsze podziękowania składam jednak Róży Sokołowskiej wraz z warszawską gromadką kuzynów i pierwszych czytelników. Gdyby nie Wy, ta książka by nie powstała.

Dziękuję Adel za pomoc w przygotowaniu grafiki okładki i Izie Pisarek, która zrobiła wiele, by końcowa wersja powieści nie przypominała szkolnych notatek.

Ślę ukłony również w stronę czytelników moich wcześniejszych powieści. Świadomość, iż goszcząc w Waszej wyobraźni, sprawiam Wam frajdę, uskrzydla i daje „kopniaka” do pracy. Pisanie nabiera sensu.

Australijskie Piekło

Wydanie I

Płock 2020

ISBN 978-83-957499-0-2

Projekt okładki: Adel

Skład i łamanie: Izabela Pisarek / Skład z wyrazem

Copyright © for the text by Radosław Lewandowski